Numer 23. Nal. poczt. opł. ryczł. Dnia 9 Czerwca 1929



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Nie będzie jadł.

Przez granicę przemycił biedny żyd worek herbaty. Los chciał, iż natknął na strażnika celnego, którego naniosło w tę stronę.

— Co pan tu niesie? — pyta strażnik.

— Gdzie? — pyta Żyd, trzymający worek herbaty na plecach.

— Pan dobrze wie, gdzie! Tu na plecach.

— Na których plecach?...

— Jakto, na których plecach? Chyba nie na moich! — mówi oburzony strażnik. Co to za worek?

— A ten worek? — zdumiony Żyd. — Ten worek na moich plecach?

— Tak ten worek? Co w nim jest?

— Co w nim jest... „jeście“ dla psa.

— Co to znaczy „jeście“ dla psa?

— Nu, pies to będzie jadł...

— Aha, pan myśli jedzenie — dla psa? Pokaż pan to jedzenie!

Rad nierad zdejmuje Żyd worek z pleców i powoli rozwiązuje sznurek.

— To jest jedzenie dla psa? — pyta, uśmiechając się strażnik widząc worek herbaty. To będzie pies jadł u pana?

— Nie będzie jadł? — pyta — zdumiony Żyd. — To niech nie je! Mam zmartwienie.



Nie z tej parafji.

Pewnego razu w wiejskim kościele ludzie, wzruszeni kazaniem wszyscy płakali, z wyjątkiem jednego z wieśniaków. Zapytany o przyczynę, odpowiedział:

— Przecież ja nie jestem z tej parafji.

Zbyteczna obawa.

— Janku! wypluj mi zaraz guzik z buzi, bo połkniesz jeszcze!

— Dobrze mamo!

Za chwilę:

— Co to? teraz znów włożyłeś palec w buzię! Wyjmij mi zaraz!...

— Czego się mamusia boi? Przecież go nie połknę.



W szkole wiejskiej.

Nauczyciel: — No, uważaj Wojtek!... Z przodu mam północ, z lewej strony zachód, a z prawej wschód... Cóż mam z tyłu?

Wojtek: — Kiej sie wstydzę.



Trudna odpowiedź.

— Mamusiu, dokąd idą misjonarze i ludożercy: do nieba czy do piekła?

— Ludożercy idą do piekła, a misjonarze do nieba.

— A jeżeli misjonarz znajduje się w brzuchu ludożercy?

Numer 23. Rok XII. Kraków, dnia 9 Czerwca 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Święto Serca P. Jezusa.

Ostatniem świętem w ciągu roku kościelnego, poświęconem czci Pana Jezusa, jest święto Serca Pana Jezusa, które Kościół katolicki obchodzi w piątek po oktawie Bożego Ciała. Uroczystość ta przypada w bieżącym roku dnia 7 czerwca.

Najgorliwszymi propagatorami czci Serca Pana Jezusa były dwie zakonnice, a mianowicie św. Gertruda z Turyngji (zmarła 1307 r.) i Małgorzata Marja Alakok z Francji (zmarła 1690). Święta Gertruda usiłowała wszczepić wewnątrz duszy ludzkiej cześć ku Sercu Pana Jezusa, podczas gdy błogosławiona Małgorzata zaznajamiała niejako z zewnętrzną czcią Boskiego Serca.

Pan Jezus objawiał się niejednokrotnie bł. Małgorzacie i ukazywał jej Serce swoje przebodzione włócznią, otoczone koroną cierniową. Z niego strzelały promienie światła, a na środku Serca widniał świetlisty krzyż. W tych objawieniach wyraził Chrystus Pan życzenie, by wystawiano ku czci publicznej podobne obrazy Serca Jego i przyrzekł wiele łask i błogosławieństwo tym wszystkim, którzy czcić będą święte Serce Jego.

Zażądał także Zbawiciel, by obchodzono osobne święto Serca Jezusowego i to w piątek po oktawie Bożego Ciała. Jest to dzień bardzo stosowny. W piątek dał nam Zbawiciel największy dowód miłości przez swą śmierć, w piątek przestało Jego Serce bić i przebodzione było włócznią. Drugim dowodem miłości Zbawiciela jest Przenajświętszy Sakrament Ołtarza. Właśnie kończy się oktawa Bożego Ciała, więc zaraz nazajutrz w piątek przepraszać możemy Najświętsze to Serce za wszelkie obelgi i zniewagi, które ponosiło i ponosi w tym Sakramencie miłości.

Nabożeństwo do Najświętszego Serca Jezusowego jest, jak to objawiał sam Zbawiciel świętej Gertrudzie i błogosławionej Małgorzacie, ostatnim wysiłkiem miłości, którym pragnie zagrzać i rozpalić obojętne i wystudzone serca ludzkie w tych czasach ostatnich.

Cześć dla Najświętszego Serca Pana Jezusa jest tak dawną, jak dawnym jest Kościół katolicki. Od dawien dawna szczególniej zaś od jedenastego stulecia liczne dusze wiodące ukryty żywot, czciły to Najświętsze Serce. Wiemy to z życia świętych: Augustyna, Bernarda, Bonawentury, Tomasza z Akwinu, Klary, Katarzyny Senejskiej, Teresy i innych, ale nabożeństwo to nie było tak rozpowszechnione, jak jest dzisiaj. Największą zasługę położyli tu księża Jezuici, którzy tak żywem słowem, jak i licznemi wydawnictwami starali się i starają się jak najbardziej rozpowszechnić i utrwalić cześć dla Najświętszego Serca Pana Jezusa. A mają w tej zbożnej pracy potężnego sojusznika, którym jest sam Zbawiciel. Pan Jezus bowiem wszystkich czcicieli swojego Serca obdarza specjalnemi łaskami i gdyby się ktoś pokusił spisać te wszystkie cuda, jakie zdziałało Serce Pana Jezusa dla swych czcicieli, musiałby grube tomy zapisać, chcąc je tylko krótko wyliczyć.

I dziś niema prawie kościoła katolickiego, w którym nie obchodzonoby w pierwszy piątek po oktawie Bożego Ciała uroczystości Serca Pana Jezusa. A nie tylko w dzień ten, ale we wszystkie pierwsze piątki każdego miesiąca odprawiają się w wielu kościołach nabożeństwa ku czci Serca Pana Jezusa, a wreszcie cały miesiąc czerwiec jest poświęcony czci Boskiego Serca.

W niektórych kościołach przez cały czerwiec po mszy św. odmawiają kapłani wraz z wiernymi litanję do Serca Pana Jezusa, dziękując Mu za otrzymane dobrodziejstwa i prosząc o nowe łaski.

ANTONI ST. BASSARA.

Branki tatarskie.

Powieść na tle historycznem.

ROZDZIAŁ VIII.

Poszukiwania.

Rozpacz Stacha, kiedy nie znalazł nietylko uprowadzonego jasyru, ale po nim nawet najmniejszego śladu, nie miała granic. Chciał najpierw dosiąść swojego rumaka i puścić się na oślep w stepy olbrzymie na poszukiwanie uprowadzonych. Chciał węszyć wśród traw olbrzymich, jak ten wyżeł za ukrywającą się zwierzyną. Spodziewał się dopaść ich, rzucić się na sprawców swojego nieszczęścia i odebrać ukochaną dziewczynę lub zginąć w nierównej walce.

Powstrzymał go jednak pan Krwawicz.

— Nie szalej! Nie szalej! — mówił. — Czuję ja twój ból wielki i rozpacz twoją, ale szaleństwem niczego nie dokonasz. Tu trzeba działać powoli i z rozmysłem.

— A ona tymczasem...

Nie dokończył, gdyż przez usta nie mogły mu przejść słowa, co tymczasem może się stać z Hanusią. A zresztą i mówić nie trzeba było, gdyż każdy wiedział, jaki okrutny los czeka w rękach tatarskich wszystkie branki.

— Hanusia — pocieszał go pan Krwawicz — nie ulegnie tak łatwo, nie podda się życzeniom swoich oprawców. Będzie się bronić do ostatniego tchu i przetrwa nieskalana, póki jej nie przyjdziesz z pomocą. Ale trzeba działać powoli i z rozmysłem.

Pan Krwawicz namawiał Stacha, aby powrócił do Jampola, tam odpoczął przynajmniej dzień jeden, a potem zaopatrzony w najniezbędniejsze rzeczy, będzie mógł wyruszyć na poszukiwania. Trzeba przecież zaopatrzyć się w odpowiednią broń i pieniądze.

— Zaopatrzyć? Skąd — zapytał Stach. — Wszak Jampol zniszczony, wszystko zrabowane! Nic ja tam nie znajdę dla siebie, więc szkoda nadarmo czas tracić.

Słuszna była uwaga, więc pan Krwawicz nie mógł jej zaprzeczyć. Ale i na to znalazła się rada. Wszak wśród żołnierzy znajdzie się odpowiednia broń, z której Stach wybierze sobie, co mu będzie potrzeba. Pieniędzy też nie braknie. Miał ich nieco Stach przy sobie, miał i pan Krwawicz, mieli i jego żołnierze. Postanowiono zebrać, co się da i oddać Stachowi.

Wprawdzie Stach wzbraniał się w przyjęciu tej ofiary, gdyż wrazie niepowodzenia nie mógłby oddać zaciągniętego długu, ale uspokoił go Krwawicz, że pan Stawski wyrówna wszystkie rachunki, zwłaszcza, że pieniądze będą obrócone na wyswobodzenie jego córki.

Dał się przekonać Stach i jął się przygotowywać do drogi.

Kiedy już jął się żegnać z towarzyszami broni, stanęli obok niego dwaj Lipkowie: Selim i Ibrahim, z których pierwszy ozwał się:

— Panie komendancie! I my z panem. Na śmierć i życie! Pójdziemy, gdzie ty pójdziesz, bo i nam gore, bo i my utracili, cośmy mieli najdroższego w świecie. A we trzech prędzej co zdziałamy.

Ucieszył się Stach z propozycji Lipków, gdyż była ona mu bardzo na rękę, albowiem sam ich wygląd tatarski mógł zmylić ordyńców w czasie poszukiwań, a powtóre Lipkowie znali język tatarski, więc łatwiej przy ich pomocy było czynić poszukiwania. Można się było przecież spodziewać, że czambuł z jasyrem zdoła ujść do swych siedzib, zanim Stach natrafi na jego ślad. Tatarzy, jakkolwiek rozproszeni podczas potyczki, zbiorą się niezawodnie szybko na oznaczonem miejscu i wraz z jasyrem podążą pospiesznym marszem do swych koczowisk najkrótszą drogą. A Stach tymczasem będzie musiał kołować i szukać, a upatrywać śladów po stepach, któremi się czambuł przemykał.

Stach z Lipkami w obecności Krwawicza odbyli krótką naradę. Postanowiono wyruszyć konno, iść za śladami rozgromionych Tatarów i odszukać miejsce, w którem rozbitkowie po pogromie zapewne się zgromadzili. Ta część zadania była narazie najtrudniejsza, gdyż Tatarzy uchodząc pojedynczo, pozostawić musieli po sobie wiele śladów, które miały utrudnić znacznie pościg. Ale gdy wszystkie pojedyncze szlaki złączą się w jeden, rzecz już będzie znacznie łatwiejsza.

Jakoż tak było w rzeczywistości. Po lesie bilcyckim znać było wszędzie odciski kopyt końskich, zdeptaną trawę, połamane gałęzie. Ślady te rozbiegały się na wszystkie strony, to znów zbliżały się ku sobie, to wreszcie oddalały, aby wkońcu już większą gromadą wydostać się na step i podążyć ku zachodowi. A w trop owych śladów szedł Stach i jego Lipkowie. I oni rozbiegali się, aby znów po niejakim czasie spotkać się zaledwie o kilkadziesiąt kroków dalej. W każdym razie posuwali się ciągle naprzód.

Wydostali się wkońcu z lasu i weszli w stepy, w tych okolicach wypalone przez słońce niemal zupełnie. Ale to im ułatwiało tropienie, bo choć się rozbiegali znów chwilowo, to nie nikli sobie z oczu, ale szli naprzód, jakby nagonka na polowaniu.

Ominęli Paleszty i znów weszli w step porośnięty trawami. Ku swojej wielkiej radości spostrzegli, że obrali dobry kierunek i że natrafili na ślad tego, czego szukali. Wśród traw ujrzeli bowiem chustkę kobiecą, poplamioną krwią i zapomnianą w czasie ucieczki. Świadczyło to, że tędy szedł czambuł z uprowadzonym łupem. Potwierdziły to również i ślady obozowiska, w pobliżu Skrulan. Tam znaleźli wiele drobiazgów, porzuconych przez Tatarów, jako rzeczy zupełnie bezużyteczne, a jeszcze dowodniej świadczyły o tem znalezione zwłoki nieszczęśliwego Jaśka Malika, którego trupa Tatarzy po drodze porzucili.

Kazał Stach Lipkom wygrzebać w ziemi jaki taki dołek, włożyć weń ciało zmarłego, nakryć darniami i trawą i w ten sposób ofierze tatarskiego najazdu urządzić choć jaki taki pogrzeb.

Pomodliwszy się jeszcze na grobie Jaśka, pojechał Stach z swoimi Lipkami dalej.

Ale tu znowu poszukujący napotkali na nowe trudności. Ślady niemal wszystkie zmierzały ku południowemu wschodowi, ale znów się rozpadały w kilka rozgałęzień tak, że nie wiadomo było, za którymi iść najlepiej. Selim radził, aby iść pośrodku, gdyż wrazie potrzeby można zboczyć w lewo lub w prawo i dojść do zamierzonego celu.

Usłuchał Stach rady i uznał ją za dobrą. Poszli więc w kierunku Karałasza, aby znów zbliżyć się ku Dniestrowi i iść dalej, a dalej, dokąd ich ślady prowadzą, choćby na Budżak sam, choćby do samego piekła. Od jeńców bowiem, pojmanych w czasie potyczki dowiedzieli się, że czambuł, jaki napadł na Jampol, byli to Tatarzy z Budżaku, położonego w widłach pomiędzy Prutem, Dunajem i morzem Czarnem. A że Tatarzy nie przeszli zaraz po przez Prut, ale szli ku wschodowi, nie było nic w tem dziwnego, gdyż musieli unikać okolic gęściej zaludnionych

a przedzierać się przez bezludne stepy. Zresztą od Multan mogli im zastąpić drogę karłasze multańscy i bez wielkiego trudu zdobyczy pozbawić.

Jakoż przekonał się wkrótce Stach, że możliwość ta nie była wykluczona. Kiedy bowiem znaleźli się na wysokości Kiszeniewa, uszu ich doszły jakieś podejrzane odgłosy, wydobywające się z pośród traw stepowych. Jeźdźcy ściągnęli cugle koniom i przystanęli na chwilę, nadsłuchując, coby to takiego było. Odróżniali wyraźnie kilka głosów, wydobywających się z pośród traw. Nie były to jednak słowa ani ruskie, ani polskie, ani tatarskie. Domyślił się Stach, że musieli to być multańscy karłasze, którzy często w kilku i kilkunastu uwijali się po stepach, aby niespodziewanie napaść na powracających z łupem Tatarów i odebrać im dla siebie uwożoną zdobycz.

W pierwszej chwili zamierzał Stach ominąć niespodziewanych gości, ale po chwili postanowił inaczej. Wszak może od nich dowie się coś bliższego o Tatarach. Trzeba było tylko działać ostrożnie, aby ich albo nie spłoszyć, albo samemu nie narazić na ich napad.

Wydał więc stosowne polecenia swym Lipkom, a rzuciwszy lejce rumaka w ręce Selima, zaszył się w trawy, skradając się w kierunku dochodzących go głosów. Nie rozumiał znaczenia słów, ale z dźwięku i tonu mowy poznał, odgrażanie się komuś, drwiny z niego, czy coś podobnego. W każdym razie nie była to przyjacielska rozmowa. Tak przemawia tylko zwycięzca do zwyciężonego. A jeżeli tak, to szanse Stacha wrazie spotkania się z rozmawiającymi znacznie się zwiększały. Wszak zwyciężony, czy zwyciężeni siłą rzeczy musieliby stanąć po jego stronie.

Mimo to podsunął się ostrożnie, aby zbyt wcześnie nie spostrzeżono jego obecności. Wkońcu zobaczył sześciu ludzi, otaczających siódmego, który leżał skrępowany na ziemi. Opodal konie skubały trawę najspokojniej. Nic je nie obchodziło, co się w pobliżu dzieje. Nie przewidywały dramatu, jaki się tu przygotowywał, a w którym one również miały brać czynny udział.

Stach podsunął się jeszcze bliżej. W stojących rozpoznał rozbójników multańskich. Leżącym był Tatar i to jakiś znamienitszy. Znać to było po stroju i z wyglądu.

Rozbójnicy zdaje się już dostatecznie naurągali leżącemu, który z swej strony nie odezwał się ani jednem słowem, gdyż zamilkli na chwilę, poczem poczęli rozwijać sznury i przywiązywać je do nóg leżącego.

Nie trwało to długo. Mocne pętle powrozów objęły stopy Tatara. Napastnicy wyciągnęli powrozy w dwóch przeciwnych kierunkach. Pobiegli do koni i podprowadzili dwa z nich ku leżącemu. Wolne końce powrozów przywiązywali szybko koło karków końskich.

Na widok ten leżący Tatar szarpnął się całym wysiłkiem i wydał z siebie głos, podobny do ryku raczej, aniżeli do głosu ludzkiego.

Stach domyślił się tragedji, jaka miała za chwilę nastąpić na tym bezludnym stepie. Oto miano ujętego jeńca rozszarpać końmi i unieszkodliwić nazawsze.

Nie było chwili do stracenia. Stach nie namyślał się długo. Nie zastanawiał się nad tem, kto ma być zamordowanym w tak okrutny sposób i kto są jego mordercy. W tej chwili nie obchodziło go, czy Tatar zasłużył na taką straszną karę, czy nie i czy oprawcy mają dostateczne powody do wykonania haniebnego samosądu. On widział tylko ofiarę przemocy i uważał za swój święty obowiązek bronić jego, choćby z narażeniem własnego życia. Na przywołanie ku sobie Lipków nie miał czasu. Każde zawołanie, każdy ruch głośniejszy, mogłoby tylko przyspieszyć tragedję.

Trzeba było działać natychmiast. Ujął więc w dłoń krucicę i puścił strzał w stronę jednego z Tatarów, stojącego przy koniach. Jeszcze odgłos pierwszego strzału nie przebrzmiał, gdy rozległ się strzał drugi. Obydwa były celne; dwa trupy potoczyły się na ziemię.

Konie tatarskie przyzwyczajone do huku bitewnego nie ruszyły się z miejsca. Rozbójnicy jednak rzucili się w kierunku, skąd padły strzały. Zobaczyli napastnika i poskoczyli ku niemu.

Huknął strzał jeden i drugi. Chybili. Nim jednak zdołali wziąć ponownie Stacha na cel, już po za nim znaleźli się jego Lipkowie. Dali ognia i znów jeden z bandytów potoczył się na ziemię. Pozostali dali za wygraną, poskoczyli ku koniom, a dosiadłszy ich, poczęli umykać.

Rzucili się za nimi Lipkowie. Jeszcze raz dali ognia, ale bezskutecznie. Odstrzelili się im uciekający, lecz również nieszkodliwie. Tymczasem już Selim dopadł pierwszego z nich i rozłupał mu czaszkę jednem cięciem szabli. Pozostali dwaj odwrócili się momentalnie i natarli na Lipków. Nie byli jednak zbyt wprawni we władaniu białą bronią, gdyż wkrótce poczęli krwawić, a potem zsunęli się na ziemię i jęli o litość błagać. Byłoby to nic nie pomogło, gdyby nie Stach, który nadbiegł w samą porę, aby powstrzymać śmiertelne ciosy.

— Nie godzi się zabijać bezbronnych! — krzyknął. — Zostawcie ich.

Usłuchali rozkazu, a skrępowawszy ich tylko, poprowadzili w stronę, gdzie leżał związany Tatar.

Ten nie rozumiał, co się wokoło niego działo. Oto przed chwilą żegnał się w myślach z tym światem, gdy nagle posłyszał strzały i zobaczył padających swych prześladowców. Słyszał pościg i utarczkę. A teraz wracają. Czy aby przyjaciele, czy nowi prześladowcy. Przez umysł jego przewijała się trwoga i nadzieja. Żałował nawet, że się tak stało, jak się stało. Gdyby nie nagła przeszkoda, jużby teraz nie żył i nie potrzebowałby wysilać umysłu, co jeszcze bardziej go męczyło, jak krępujące powrozy. Dla człowieka o małej inteligencji wszelki wysiłek myślowy jest najcięższą pracą.

Stach jednak nie dał mu długo myśleć. Kilkoma cięciami uwolnił go z krępujących powrozów.

Wyprostował Tatar zbolałe członki i podniósł się z ziemi. Rzucił okiem na przybyłych i ponowna trwoga rozlała się na jego obliczu. Poznał w nich tych, z którymi walczył w lesie bilcyckim. Spodziewał się strasznej zemsty z ich strony.

A więc po to go uwolnili od tamtych, aby sami zająć ich miejsce. Tatar opuścił ręce, zwiesił głowę na piersi i czekał bezmyślnie na to, co się stać miało. Był przygotowany na najgorsze. To też zdziwił się niepomiernie, kiedy Stach odezwał się doń łagodnie:

— Nie bój się nic! Nic ci się nie stanie. Jesteś w ręku nie wrogów, ale przyjaciół.

Tatar nie dowierzał własnym uszom. Raczej zdawał się przypuszczać, że teraz rozpocznie się nowy sposób znęcania się nad nim. Ale gdy go Stach jeszcze raz zapewnił, iż może być pewny ich pomocy, uwierzył wkońcu i począł dziękować za ocalenie i zapewniać, że odtąd rabem Stachowym będzie, że będzie mu służył do dni swoich ostatka.

Ale Stachowi nie szło o służby Tatarowe. On chciał dowiedzieć się od niego, czy nie wie co o uprowadzonym jasyrze z Jampola i coby się z nim stać mogło.

Tatar z początku począł kręcić, gdyż nie chciał się zdradzić, że i on brał udział w napadzie, ale wkońcu wzięty w krzyżowy ogień pytań przez Stacha, przyznał się do wszystkiego. A więc opowiedział z najdrobniejszymi szczegółami o skutkach pogromu, o ucieczce czambułu i o podziale łupów.

Z pod Skurlan szli więc Tatarzy podzieleni na mniejsze grupki. On z kilku swoimi ludźmi opóźnił nieco swój pochód, gdyż miał najbardziej konie zmordowane, a zresztą przeszkadzał mu ranny jeniec, który mdlał bez ustanku, a którego on chciał koniecznie ocalić. Napadli go więc multańscy rozbójnicy. Towarzysze jego polegli od strzałów, danych do nich z zasadzki. On jeno ocalał. Chcieli go specjalnie ukarać za śmierć trzech rozbójników, jacy padli z jego ręki, kiedy wyskoczyli z zasadzki. I gdyby nie Stach, jużby było po wszystkiemu.

— A gdzież ten ranny jeniec? — zapytał Stach.

— Zostawili go z łupami na miejscu potyczki, — odparł Tatar i poprowadził swych nowych przyjaciół na wskazane miejsce.

Leżało tam kilku zabitych Tatarów i owi trzej multańscy rozbójnicy, którzy padli z ręki ujętego Tatara, a opodal spał w najlepsze związany sznurami braniec polski.

Podszedł ku niemu Stach i jakże się zdziwił, kiedy w leżącym rozpoznał Walka Juchę.

Począł go budzić, ale Walek, choć otwarł oczy, zdawał się nikogo nie poznawać, jeno szeptał jakieś niezrozumiałe słowa, a potem znów zamykał powieki i zapadał w sen gorączkowy.

Stach przedewszystkiem porozcinał mu krępujące powrozy, a potem wlał do ust nieco orzeźwiającego napoju. Odniosło to niemal natychmiastowy skutek. Stach otworzył tym razem szerzej oczy i już ich nie zamykał, ale wodził nimi po otaczających, jakby się chciał przekonać, czy ma przed sobą żywe istoty, czy widma jakie.

— To ja, Walku! — szepnął Stach. — Nie poznajesz że mnie?

— Panicz? Rany Boskie, panicz — zawołał Walek i wyciągnął ku Stachowi rękę, jakby się chciał przekonać, czy śni jeszcze, czy widzi przed sobą żywą istotę.

Nabrał jednak przekonania, że nie było to złudzenie, ale rzeczywistość prawdziwa. Kilka łez szczęścia spłynęło po jego obliczu.

Chociaż Stach chciał dowiedzieć się jak najwięcej od Walka o losach Hanusi i jej towarzyszek, nie sposób jednak było zbyt długo pytaniami męczyć chorego. W każdym razie dowiedział się przynajmniej tyle, że Hanusia i Ksenia dostały się przy podziale Achmetowi, zaś Baśka Jussufowi i że wszystkie trzy były zdrowe i całe.

I to jednak było dużo, zwłaszcza, że i oswobodzony Tatar, Tuchej, pochodził z koczowiska, znajdującego się w pobliżu koczowiska Achmetowego.

Nadzieja wstąpiła w serce Stachowe.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jaki obrać zawód.

Rodzice są niejednokrotnie w kłopocie jaki zawód obrać dla syna lub córki. Jeden za ciężki, drugi małopopłatny, a jeszcze inny wymaga więcej zachodów i kosztu. Ot i masz nowe zmartwienie. Ojcu zdaje się naprzykład, że najlepiej, aby syn został krawcem i mimo, że syn nie ma ochoty zostać krawcem, oddaje go do terminu. Syn nie chcąc się sprzeciwiać woli ojca uczy się krawiectwa i zostaje krawcem, ale cóż z tego, kiedy on nie ma do tego zawodu zamiłowania; niechętnie obcuje z igłą i nożycami, jak również nie dba, aby jego praca kljenteli się podobała. Ot! czuje się niezdrów, rozstrojony, a na dobitek złego i do kieliszka czasami zagląda. On radby pracować na własnym zagonie w pocie czoła, i spożywć ten czarny, powszedni chleb krwawo zapracowany z trudem i wysiłkiem wydobyty z Matki-ziemi. O! wtedy czułby się szczęśliwy i dziękowałby za to Bogu-Stwórcy ze wszystkiego serca swego. Ale cóż z jego marzeń, kiedy przed oczyma staje rzeczywistość z którą mimowoli trzeba się pogodzić.

Niemal każdy człowiek nieraz od zarania swej młodości, ma do jakiegoś zawodu zamiłowanie i mimo, że mu inni nieraz ganią dany zawód, on nie zniechęca się, lecz w swem postanowieniu utwierdza się bardziej, coraz bardziej dany zawód podoba mu się, coraz bardziej lgnie doń całem sercem. Takie zamiłowanie, taką chęć nazywamy powołaniem.

Człowiek, który ma do danego zawodu powołanie, jeśli swego celu, swego ideału, swego szczęścia niemal, mimo walki o to, mimo niezłamanej woli i charakteru, nie osiągnie, czuje się nieszczęśliwym, złamanym, życie niema dlań powabu, nic go nie cieszy, a życie samo jest dlań ogromnym ciężarem.

Trafi się czasem charakter silny, charakter niezłomny, który odda się jakiejś innej pracy z poświęceniem; znajdując w niej poniekąd zapomnienie raczej zabliźnienie swych bolączek, ale to są tylko wyjątki.

A więc ojcze! matko! jeśli chcesz, aby twe dziecko było szczęśliwe, aby miało zapewniony byt bez troski i aby ze czcią twe imię wspominało, dopomóż mu do osiągnięcia jego ideału, choćby to wielkiej z twej strony potrzebowało ofiary. Dopomóż mu, o ile to tylko będzie w twej mocy, bo jest to twoim świętym obowiązkiem zabezpieczyć dziecku przyszłość, dać mu — jak to mówią — kawałek chleba; jeśli to uczynisz, doczekasz się może jeszcze tej pociechy, że twój potomek przyniesie ci chlubę i zaszczyt na starość.

Oprócz młodzieży powołanej, dość duża liczba znajduje się takich dzieci, które nie zdają sobie sprawy z przyszłości, nie myślą o niej i nie zastanawiają się nad nią, lecz ot, żyją tak teraźniejszością. A przecież i takiemu dziecku trzeba byt zabezpieczyć, bo w przeciwnym razie, gdy już dojdzie do rozumu i pozna na czem polega życie i walka o nie, złorzeczyć ci i przeklinać cię będzie. Nim więc oddasz takie dziecko gdziekolwiekbądź, wpierw zapytaj się go: Synu! Córko, czem ty chcesz być? możliwe, że po takiem zapytaniu dziecko twe zastanowi się nad przyszłością, zatroszczy się o nią i obierze sobie zawód, który będzie uważało za odpowiedni. Jeśli i tym sposobem nie zdołasz obudzić w swem dziecku troski o jutro, pokieruj jego życiem według swej ojcowskiej woli, zważając jednak na jego zdolności fizyczne i umysłowe.

Możnaby jeszcze dużo na ten temat napisać, ale tu nie miejsce; nadmienię tylko jeszcze, że do obrania zawodu, który nie ma powabu dla danego człowieka, nie należy nigdy zmuszać, bo obranie zawodu to rzecz ogromnej wagi i przy tej czynności należy kierować się więcej zrozumieniem sprawy i roztropnością, aniżeli rozumem i środkami materjalnymi.

Tadeusz Frączek.

UCIECZKA JANA KAZIMIERZA.



Obok zamieszczony obrazek pędzla największego malarza Polski, Jana Matejki, przedstawia ostatnie chwile Jana Kazimierza przed jego ucieczką z Krakowa przed Szwedami w 1655 r.

Były to chwile straszne dla Polski. Zdawało się wówczas, że Ojczyzna nasza dostanie się pod obce panowanie i nic jej z niego nie wyzwoli. A winien temu był w pierwszym rzędzie sejm, który nie chciał uchwalić potrzebnych funduszów na wojsko, aby to mogło skutecznie stawić czoło licznym nieprzyjaciołom, wdzierającym się ze wszystkich stron w granice Polski. Był bowiem wówczas zwyczaj, że sejm nawet jednym głosem mógł nie dopuścić do najkorzystniejszych uchwał. Wystarczył sprzeciw jednego tylko posła, aby unicestwić zamiary wszystkich posłów. Było to tak osławione „Liberum veto". A cóż łatwiejszego było dla wrogów, jak przekupienie choćby tylko jednego posła, któryby wyrzekł te zgubne słowa „Nie pozwalam".

Pierwszym, który zerwał w ten sposób sejm, w r. 1652, był poseł upitski, Siciński. A uczynił to w chwili, kiedy Polska potrzebowała jak najbardziej wytężenia wszystkich swoich sił, aby nie dać zapanować nad sobą otaczającym ją wrogom. Nie zabliźniły się bowiem jeszcze rany, zadane jej przez na pół dzikie hordy, prowadzone ze wschodu przez Bohdana Chmielnickiego, kiedy nowe nieszczęście zawisło nad nią. Oto obrażony na króla Jana Kazimierza Hieronim Radziejowski udał się do Szwecji i tam zdołał nakłonić króla szwedzkiego do najazdu na Polskę.

Wprawdzie mieliśmy wojsko, mieliśmy dowódców, mieliśmy broń, mieliśmy sił podostatkiem, mogliśmy więc stawić opór nieprzyjaciołom i piersmi swemi zasłonić ziemię polską przed najazdem, ale tu weszła w grę zdrada wyrodnych synów naszej Ojczyzny. A zdradził nie jeden, ale zdradziło kilku. Oto najpierw wysłany na północ z wojskiem dla obrony granic Krzysztof Opaliński bez jednego nawet wystrzału poddał się 25 lipca 1655 roku Szwedom, pod Ujściem, otwierając im wolne wejście na ziemie polskie. Za jego przykładem poszli Janusz i Bogusław Radziwiłłowie. Król szwedzki, Karol Gustaw, zjednał ich na swą stronę obietnicą, że Janusz Radziwiłł zostanie wielkim księciem litewskim, wskutek czego Litwa zostanie niezależnem państwem a będzie jeno połączona ze Szwecją tak, jak była połączona z Polską za czasów Jagiellonów. Łakomy na zaszczyty Janusz Radziwiłł posłuchał podszeptów króla szwedzkiego i zawarł z nim w Kiejdanach przymierze, przyłączając swe wojska do wojsk szwedzkich.

Szwedzi zalali całą Polskę. Dnia 20 sierpnia wkroczyli do Warszawy, w pierwszej połowie września dotarli pod Kraków. Zdawało się, że już niema ratunku. Ojczyzna nasza była w ręku wroga, król bezbronny niemal pozostawał jeszcze w Krakowie, a tu Szwedzi całą masą walili na dawną stolicę Polski i nic jej już przed nimi ocalić nie mogło.

Jan Kazimierz, acz niechętnie, dał się namówić do ucieczki. Jeszcze raz spojrzał na to miasto, w którem panowali Kazimierz Wielki i Władysław Jagiełło, skąd wydawali rozkazy i sławą okrywali Polskę po całym świecie, jeszcze raz rzucił okiem na otaczające go okolice i uszedł na Śląsk, aby stamtąd śledzić nieszczęścia, jakie spadać miały na kraj jego pieczy powierzony.

Po ucieczce króla Szwedzi stali się panami całej Polski i byliby nimi pozostali zapewne, gdyby nie pycha ogromna, która ich w końcu zgubiła. Oto wskutek swej zarozumiałości nie uszanowali nawet rzeczy najświętszych dla narodu polskiego. Zawładnąwszy Polską całą, chcieli zawładnąć i klasztorem częstochowskim, w którym znajdował się obraz Najświętszej Marji Panny, słynący cudami, świętość dla praojców naszych największa. Szwedzi, jako protestanci, którzy nie oddają czci Matce Boskiej, nie uszanowali Częstochowy i to ich zgubiło. Naród oburzony na najeźdźców porwał za broń, rzucił się na Szwedów i pod wodzą wielkiego Stefana Czarneckiego wypędził ich z Polski.

Do zwycięstwa przyczyniła się, a właściwie spowodowała je cudowna obrona Częstochowy, której załoga złożona z zakonników i garstki szlachty nie ulękła się olbrzymiej potęgi wroga, ale dzielnie stawiła czoło i przy pomocy Najświętszej Panienki, nietylko nie dała sobie wydrzeć klasztoru, ale taki zapał wznieciła w sercach Polaków, że ci nie spoczęli dotąd, póki Szwedów z Polski nie wypędzili.

Król Jan Kazimierz, dowiedziawszy się o obronie Częstochowy i o tem, że naród porwał się do broni, opuścił Śląsk i wrócił do Polski. Szedł wzdłuż Karpat, aż dotarł do Lwowa, gdzie ślubował przed obrazem Matki Boskiej, że będzie ojcem dla ludu wiejskiego, który dużo do zwycięstwa się przyczynił.

Już to tak jest zawsze, że w nieszczęściu niemal wszyscy człowieka odstępują, a gdy się mu szczęścić zaczyna, z powrotem się garną do niego. Tak było

i wówczas. Kiedy Polacy zaczęli być górą, nietylko zawarli Habsburgowie z nimi przymierze, ale nawet wojska austrjackie przyszły nam z pomocą. Do przymierza tego przystąpił król duński, elektor brandenburski, który dotąd walczył po stronie Szwedów, opuścił ich i przeszedł na stronę Jana Kazimierza, a nawet następca Bohdana Chmielnickiego, hetman kozacki Wyhowski, poddał się Polsce.

To wszystko sprawiło, że Szwedzi zaniechali myśli zawojowania Polski i zawarli z nią w 1660 roku pokój w Oliwie.

Ale choć się skończyła wojna ze Szwedami, nie koniec był jeszcze nieszczęść dla Polski i kto wie, jakby się było wszystko skończyło, gdyby nie tacy mężowie, jak Stanisław Potocki, Stefan Czarnecki i Jan Sobieski, którzy gromili wrogów i nie dali jej zająć nieprzyjaciołom.

Król jednak, znękany tylu przejściami, złożył wkońcu koronę i wyjechał do Francji, gdzie też w kilka lat później umarł.



MACIEK BZDURA GADA:

W Zielone Świątki ześlismy się u Walka Furgaca i gadaliśmy se to o tem, to o owem, choć prawdą a Bogiem nie było wiele o cem gadać. Bo i o cemze prawić, kiedy o straśnych mroziskach ludzie juz zapomnieli, o polityce tez nima co, bo polityki, jak jem dziadek batem pogroził, siedzą cicho i bejają się, aby się co któremu nie dostało. O babach takoj prawić się nie chce, bo teraz gatunek ten coraz mniej ciekawy, odkąd wszyćko, co mają, nosą na wirzchu. Dawniej, jak zuźrałeś dzieuchę, to tak była pookręcana na wszyćkie strony, ze nawet najnieciekawsego ciekawiło, co się tam pod tem wszyćkiem ukrywa, a dziś ino ślipia w nią wrazis, to ją uźrys calusieńką od wielgiego palca u nogi do ostrzyzonej głowy taką, jaką ją Matka Boska stworzyła. I o cem tu gadać, kiedy kuzden wszyćko wie, co, jak, i gdzie jest. A o tem, co wszyscy wiedzą, to nima i co prawić.

Tak tedy pocęlimy se prawić różne gadki. Józek Powrózek opowiadał pirsy, potem Walek Furgac, potem inksi a wreście Bartek tak jął padać:

— A słyseliście chłopaki gadkę o kiełbasianem płocie?

— No pewnie! Ktoby jej nie słysał! — ozwali się jak jeden wszyscy, a Bartek tak powiadał dalej:

— No to kiedyście słyseli, to posłuchajcie jesce raz, a będziecie ją lepiej pamiętali. A było to tak:

W jednej wsi siedział se ubogi chłop, któremu było Maciek na imię, a który miał taką pierun babę, jak nie przymierzając nasego Maćka Bzdury gospodyni. Zeby był jej chłop nawet niechcący i po cichuśku ze siebie parę puścił, to babsko jego rzec całą w największej tajemnicy zaraz po całej wsi rozbębniło, zreśtą nie była ona odmienniejsego gatunku od wszyćkich babów, które w zaden sposób nie mogą dwóch rzecy la siebie zatrzymać: cnoty swojej i tajemnicy.

Znał Maciek swoją babulinkę i we wszyćkiem strzygł się jej okrutnie. Ale gdzie tam cłek upilnuje domowego złodzieja! To tez Maćkowa baba rozpowiadała nie ino to, co się w chałpie stało, ale i to, co się nigdy stać nie miało.

A trza wam wiedzieć, ze Maciek nie posiadając wiele gruntu, oprócz uprawy roli trudnił się także łowieniem ryb we dworskiem stawie i łapaniem ptaków w sidła, z cego ile tyle miał przychodu.

Jednego razu, orząc w polu, zawadził pługiem o coś takiego, co mu się zdajało nie być kamieniem. Odwalił skibę i zuźrał wieko jakisik skrzyni, a gdy odwalił lepiej i skrzynię otworzył, znalazł w niej kupę pieniędzy.

Zrazu okrutecnie się uciesył, ale gdy pomyślał, ze do przeniesienia tych pieniędzy potrzeba mu będzie pomocy i gdy wspomniał se na swoją babę, na jej złość i długi język, to jaze go ciarki od dołu do góry przesły. Pocął rozmyślać i medytować, a nareście splunął na ziemię, pocem przygrzebał skrzynię z powrotem, a oznacywszy sobie ino, gdzie ona jest, wrócił z wołami do chałpy.

Nie zabawił w chałpie długo, bo go korciły owe pieniądze w skrzyni, które chciał mieć la siebie jak najprędzej. Wymyślił więc przed babą jakąś przycynę i wziąwsy worek, posed do miasta, gdzie zakupił kilkadziesiąt łokci kiełbasy. Z kiełbasą tą udał się prosto do swego zagajnika i na ścizce, prowadzącej do stawu wbił kilka kołków i uplótł na nich z owych kiełbas płot, a gdy go skońcył, wziął ptaka, który się złapał w sidła i wsadził go w więciorek, a z więciorka wyjął rybę i zawiesił ją w sidłach. Jak to zrobił, tak posed śpiesnie do chałpy i tam, wziąwsy garnek gnojówki i kropidło i schował to za kamień niedaleko miejsca, gdzie skrzynkę znalazł.

Potem znowu wrócił do chałpy i pocął się niby smucić, mówiąc o swojej biedzie. Baba, jak to zwykle baba, choćby chłop był najpracowitsy, zacęła mu marudzić, ze on wszyćkiemu jest winien, choć po prawdzie było inacej.

Maciek słuchał baby cierpliwie, a gdy się wychałasiła do woli, tak jej pada:

— Wis co, weźno worek jeden, a ja drugi: pójdziemy do więcierza i do sideł, a co ryb i ptactwa zastaniemy, to zaniesiemy do miasta przedać.

Gdy byli niedaleko zarośli, pada do niej Maciek:

— Wis ty, ja jakoś okrutecnie zaniemogłem, musę odpocąć, a ty idź ino do sideł, a co znajdzies ryb i ptactwa, to jezeli będzies mogła, zabierz, a jezeli nie, to mnie zawołaj.

Baba sła prosto drogą ku lasowi do więcierza, a gdy weszła i zuźrała drogę zagrodzoną kiełbasianym płotem, zawołała krzykliwym głosem:

— O jej, a cóze to za dziwo! A dyć to płot kiełbasiany!

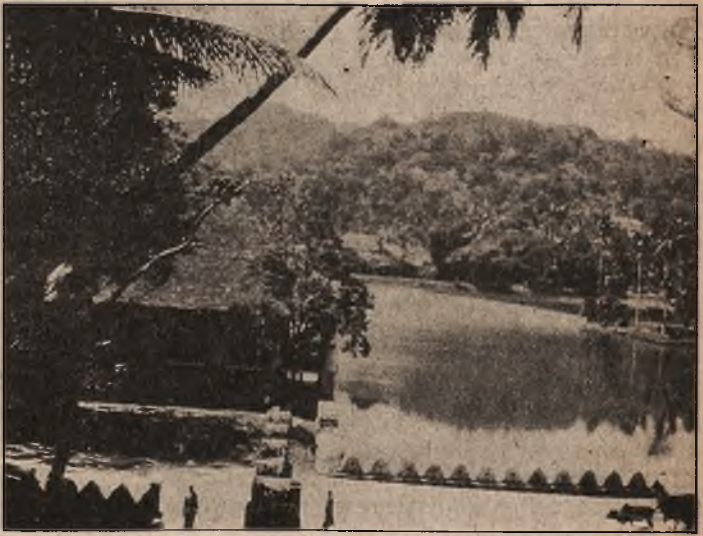
Odetchnął se Bartek trochę, jako ze był w gadaniu nie hadukowany i juz chciał opowiadać dalej, kiedy wpadła do izby jego gospodyni za zarnówicą i wyścigała go, coby sedł do chałpy, bo cas około bydląt zrobić oporządek... Chcąc, nie chcąc, musiał Bartek zwiać do chałpy. Obiecał nam ino na przysłą niedzielę gadki swojej dokończyć, co i ja będę musiał zrobić la „Roli" na przysłą dopiero niedzielę.

Juz to z babami tak zawse: cy chces, cy nie chces, to ona ci zawse w najciekawse miejsce wlizie i swoje zrobić musi!

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Cejlon II.

Dawną stolicą Cejlonu, kiedy wyspa ta nie należała jeszcze do Anglików, ale stanowiła udzielne królestwo Singalezów, jest miasto Kendi. Liczy ono do 50 tysięcy mieszkańców, a położone jest na umiarkowanej wysokości 1.800 stóp nad poziom morza, nad sztucznem jeziorem z malowniczemi w środku wyspami. Jezioro to, które widzimy na naszym pierwszym obrazku, jest dziełem jednego z dawnych królów singalezkich. Naokoło wieniec gór lesistych, wśród których szereg mniejszych górskich jeziorek. Na dole, między górami, wije się szeroka srebrna wstęga wielkiej, jak na Cejlon, rzeki Mahaveli Ganga. Ma to miasto, z porozrzucanymi po stokach gór nad jeziorem i wśród zieleni starymi i nowymi pałacami, świątyniami, willami i białymi domkami Singalezów, ma to miasto, tonące wśród najbujniejszej wegetacji i kwiatów, niesłychany wprost urok równikowego raju ziemskiego.



Cejlon. — Jezioro w Kendi.

Kendi jest czysto singalezkiem miastem, siedzibą najstarszych i najczystszej krwi rodzin singalezkiej arystokracji. Tu przechowały się nietylko przedziwne typy tej pięknej rasy, ale tu też przetrwały i stare zwyczaje, odwieczne, oryginalne stroje, które jeszcze widzieć można w świątyniach buddyjskich i kościołach katolickich, gdzie wystrojeni Singalezowie się gromadzą.

Nim opuścimy w naszych pogawędkach tę uroczą krainę, warto wspomnieć jeszcze o kilku jej osobliwościach. Jedną z nich są tutejsze słonie, oczywiście słonie oswojone, gdyż żyjące dziko rzadko dadzą się człowiekowi ujrzeć. Do ciekawych widoków należy kąpiel słoni. Warto widzieć, jak te kolosy kładą się w wodzie, jak urządzają sobie tusz trąbą i z jaką lubością pozwalają się dozorcom szorować łupą z orzecha kokosowego. Słonie te na polecenie swego dozorcy stają z podniesioną jedną nogą, kładą się na ziemi i wstają, dźwigają potężne pnie drzew trąbą i łamią je nogą, gruchocą trąbą wielkie drzewa, a kłami rozłupują potężne kłody. Dla człowieka nie są niebezpieczne, ale owszem zachowują się wobec niego nadzwyczaj łagodnie i pozwalają robić ze sobą wszystko. Oto widzimy na naszym drugim obrazku tego olbrzyma, stojącego spokojnie, chociaż na kłach jego umieścił się Singalez. Zwierzę nie rusza się, aby pana swojego nie zrzucić na ziemię.



Cejlon. — Kąpiel słoni.

W tym prawdziwym raju ziemskim spotkać też można niemal wszystkie zwierzęta, a więc oprócz słoni żyją tu drapieżne koty (tygrysów na Cejlonie niema), wszelkiego rodzaju małpy, wiewiórki oraz rozmaite potworne nietoperze. Do ciekawych stworzeń należy latająca wiewiórka, mająca między łapkami włochate błony, które rozciąga, jak skrzydła, i leci, jak kawał rudego futerka.

Z wężów żyje tu okularnik, a jaszczurek kameleon. Jest to cudne stworzenie z ogonem cztery razy dłuższym niż tułów, nitkowato zakończonym, z czerwoną zwykle głową, zielonem ciałem i czerwonym zygzakowatym grzebieniem na grzbiecie, upodobniającym jaszczurkę do jakiegoś małego smoka. Jaszczurki te mają jednak wtedy tylko czerwoną głowę i grzebień i zielony tułów, gdy człowieka nie widzą. Zobaczywszy go, gaszą w momencie jaskrawe zabarwienie i przybierają barwę przedmiotu, na którym siedzą, pnia drzewa lub kamienia.

Z ptaków spotyka się na Cejlonie wprost olbrzymią ilość wróbli i wron. Po wronach i wróblach najwięcej na Cejlonie równie krzykliwych, jak wrony, ale barwnych bardzo papug, wielkich i małych. Najwięcej małych zielonych i błękitno-zielonych, obsiadających stadami drzewa przydrożne. Są tam też maleńkie ptaszyny, które, jak motyle, zatapiają malutkie dzióbki w kielichach kwiatów; są w lasach rajskie ptaki z czubem na błękitnej głowie, a nad wodami i potokami w dużych ilościach cudne zimorodki. Wreszcie

żyje tam najbarwniejszy ze wszystkich ptaszków, którego krajowcy nazywają pitta. Na czarnych, błyszczących skrzydłach, zielone, białe, błękitne szerokie obwódki, biała pierś, trawiasto zielony grzbiet, błyszcząco niebieski ogon i czerwony brzuszek. Robi on wrażenie bajecznie czegoś srokatego.

Osobliwością Cejlonu są drogie kamienie, przedewszystkiem szafiry różnych rodzajów i barw, aleksandryty, turmaliny, chryzolity, crysoprasy, opale i wreszcie kamienie księżycowe. Cejlon jest bowiem krajem drogich kamieni. Tamtejsze szafiry są śliczne: nietylko szafirowe i niebieskie w rozmaitych odcieniach, ale także białe, jak djamenty, żółte i nawet różowe. Najpiękniejsze jednak tak zwane szafiry gwiaździste, szlifowane na okrągło, załamujące światło w ten sposób, że poruszając kamieniem, widzi się wyraźnie latającą gwiazdę. Są one przeważnie niebieskie, trafiają się jednak różowe i te są znacznie droższe.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

Popołudniowym pociągiem przybyło dwoje podróżnych, którzy zajechali do hotelu w mieście Benton.

Właściciel hotelu, powitał wchodzących.

— Jeden pokój dla mnie, jeden dla mojej kuzynki.

— Do usług.

Tymczasem weszli do jadalni. Oboje byli sami.

Kelner wysłuchał zamówienia i położył księgę gości na stole.

Rogers, gdyż on to był, podpisał się.

Za chwilę czytał hotelarz:

— Pułkownik policyjny Rogers z kuzynką Jeanettą (Żanettą) de Marpon Nowy Jork.

Gospodarz wszedł do jadalni.

Pułkownik Rogers wyglądał ogromnie przygnębiony.

Po krótkim wstępie opowiedział gospodarz o pobycie pewnego markiza, który był łudząco podobny do poszukiwanego zbrodniarza Nordena.

Z opisu gospodarza, okazało się, że był to rzeczywiście Norden, który pod nazwiskiem barona Falkenburga, popełnił zbrodnię nową na osobie bogatej p. Blackburne.

Pułkownik Rogers, zaraz następnego ranka udał się wraz z Żanettą na poszukiwanie zbrodniarza.

* * *

Norden przybył do miejscowości Paducalo. Tutaj zamówił sobie pokój w hotelu i zaraz udał się na spoczynek, gdyż siły jego ucieczką były zupełnie wyczerpane.

Gdy się zbudził, ubrał się i pospieszył do jadalni. Próżna była. Zamówił jedzenie, bo był głodny.

Wziął dziennik do ręki i zasłoniwszy się gazetą, obserwował wchodzących do restauracji.

Wtem zbliżył się ktoś do niego. Norden skoczył przerażony, uspokoił się jednak natychmiast, gdy poznał w przybyłym swego sługę Józefa.

— Jakże mnie znalazłeś? — zwrócił się z zapytaniem Norden.

— Tylko przypadkowo! Śledziłem za panem aż do Nashwille. Przed kilku dniami zdawało mi się, że widziałem pana tutaj. Przeszukałem gospody.

— Co słychać nowego? — zapytał Norden.

— Dużo, a najważniejsze: Pułkownik jest w pobliżu!

— Oho! Ten jeszcze nie zginął?

— Nie, żywy i cały. Przebywa obecnie w Paducalo.

— No, nie boję się! Nie pozna mnie!

— Śledziłem za żoną sennora, panią Izą. Musiałem za nią długo szukać, ale też znalazłem. Była w asylu chorą, potem dłuższy czas kawiarnianą śpiewaczką. Później ślady po niej zaginęły.

Norden, kazał Józefowi nabyć dla siebie jakąś willę na ustroniu, aby mógł wypocząć po tylu trudach i szukać Izy...

36. Juno.

Mały zasób pieniędzy, który otrzymała od poczciwego Irlandczyka, nie wystarczył Izie nawet na drogę do Marywille.

Już dawno, jak odszedł pociąg.

Pytała o drogę, kto tylko się znalazł, wszędzie jej chętnie posłużono potrzebną wieścią.

Teraz była w dalekiej stronie — na gościńcu bez końca — bez wody — bez chleba.

Głód ją dręczył straszliwie, bo nie jadła nic od wczoraj. Delikatne jej ciało nie wytrzyma takiej nędzy...

Złożyła ręce jak do modlitwy i tak leżała bez ruchu. Naraz, zdało się jej, że słyszy zdala jakiś ton, ludzki głos i tętent kopyt końskich.

Powóz się zbliża.

Na koźle siedzi starsza jakaś dama i młodziutka pani. Rozmawiają żywo. Naraz koń zatrzymał się. Woźnica spostrzegł postać kobiecą. Damy ujrzały ją.

— Popatrz no mamciu, widziałaś kiedy takie oblicze? — zawołała młoda.

— Ba, piękna sobie, ale nie wiedzieć, czy to co porządnego.

— Ale ona widocznie nie może iść dalej, patrz, jaka blada! wezmę ją do domu.

Powóz zatrzymał się koło samej Izy.

Młoda pani trzymała w ręku chleb z masłem.

Oczy Izy otwarły się, pożądliwie popatrzyła na chleb, wyciągnęła rękę.

— O, Boże! ona głodna!

Młoda pani podbiegła do Izy i dała jej chleb.

Iza, lekko zarumieniła się.

— Nie, nie, jęknęła, — raczej umrę a nie będę żebrać. Na głos jej, woźnica bacznie się przypatrzył.

Naraz krzyknął:

— O Boże! — czy mi się wydaje, — tak, tak — to ona! — dla Boga, hrabianko Wielhorska, — skądżeś tu pani?

Iza, zakryła oczy rękoma.

Poczem odpowiedziała woźnicy, że rzeczywiście jest hrabianką Izą, bowiem poznała w nim byłego służącego swego ojca.

Na rozkaz pani, woźnica zaniósł Izę do powozu i udali się do pałacu. Tutaj, opowiedziała młoda pani mężowi, wszystko co wiedziała o Izie i ofiarowała jej gościnny pokój oraz kazała jej przyrządzić wieczerzę.

Właściciel majątku, wypytał woźnicę Antałę o rodzinę hrabstwa Wielhorskich i namyślał się, czy nie dobrze by było zawiadomić ojca o nieszczęśliwem położeniu jego wypieszczonej córki. Postanowił jednak zasięgnąć w tym wypadku decyzji Izy.

Jakież było jednak ich zdziwienie, gdy na drugi dzień nie zastali Izy w jej pokoju, natomiast kartkę od niej, w której dziękuje im za życzliwość, ale wstyd, że musiała prosić o chleb, oraz obowiązek odszukania zaginionego dziecka, nie pozwala jej na dłuższy pobyt w ich domu. Woźnica Antała, dowiedziawszy się o zniknięciu hrabianki, pocił się długo w nocy nad pisaniem listu do hrabiego Wielhorskiego...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Iza, z nastaniem świtu, opuściła gościnny dom. I znowu zacznie się niedola! Do Marywille, gdzie miała znajdować się Liddy, — jeszcze daleko — parę dni wędrówki.



Powóz zatrzymał się.

Szła drożyną, — laskiem. Piękne farmy leżały podle drogi, ciągnęły się przestronne plantacje bawełny.

W pobliżu jednej farmy usiadła spoczywać.

Naraz posłyszała głuche uderzenia, — krzyk trwogi i bólu. Skoczyła w tę stronę. Oczom jej, przedstawił się straszny obraz:

Na ziemi, leżała wijąca się czarna, napół naga postać, a gniewni robotnicy bili ją, co niemiara.

— Wstrzymajcie się panowie! — krzyknęła Iza.

Zdziwieni, patrzyli na nią robotnicy.

Piękność Izy i jej słodki głos, podziałały nań uspakająco, to też krzyknęli na murzynkę, aby się natychmiast stąd wynosiła i więcej się im na oczy nie pokazywała. Następnie opowiedzieli Izie, że murzynka jest złodziejką tytoniu i za kradzież ją karali. Iza podziękowała im, za uwzględnienie jej prośby i udała się w dalszą drogę.

Gdy Iza oddaliła się nieznaczny kawałek od plantacji, spotrzegła murzynkę, która błagała ją, aby zabrała ją z sobą, gdyż Iza uratowała jej życie, przeto ona już do śmierci pozostanie przy niej.

Iza tłumaczyła Junonie (takie bowiem było imię murzynki), że jest biedną i nie może mieć przy sobie służącej, Junona jednak nie odstąpiła swej dobrodziejki, i wyruszyła z nią na poszukiwanie Liddy.

Wreszcie przybyły do Maryville. Tutaj jednak Iza przekonała się, że znalezioną dziewczynką nie była Liddy.

Zrozpaczona udała się wraz z Juno na stację kolejową i miały wyruszyć dalej. Ponieważ jednak zasób pieniędzy Izy był niewielki, więc kupiła tylko bilet dla siebie, Juno zaś powiedziała, że jakoś sobie zaradzi i przybędzie za swą panią...

I rzeczywiście, gdy tylko Iza przybyła do G....o, nazajutrz zjawiła się Juno i opowiedziała swej pani swą jazdę z przygodami, jak jechała na dachu pociągu towarowego.

37. Dziwna wymiana listów.

Iza wynajęła zapomocą Junony mały pokoik w G...o. Nie wiedziała co począć, kędy się zwrócić za dzieckiem.

Ogłoszenia po gazetach były bezowocne.

Pewnego wieczora wpadła Juno.

— Missis list — Juno dostała!

— Kto ci dał? — zapytała Iza ze zdziwieniem.

— Juno nie wie, Juno stoi — naraz list w ręce, — śmieszne.

Iza list przeczytała. Krzyknęła przerażona. Był to list od Nordena, który oznajmił jej, że zna jej miejsce pobytu, oraz, że Liddy jest u niego, więc niech przybędzie dobrowolnie, to dziecko sobie odbierze, w przeciwnym razie, poniesie śmierć, a on zmusi ją do połączenia się na zawsze.

Zdrętwiała! Że dowiedziała się o bliskości Nordena, to głupstwo wobec faktu, iż on ma jej dziecko u siebie i grozi jego śmiercią.

A może chciał ją tylko znęcić do siebie. Norden i to umie.

Usiadła i napisała list do Nordena, oznajmiając mu, że nie wierzy, aby Liddy była u niego, uważa to tylko za jeden więcej wykręt z jego strony.

Jeżeli jednak rzeczywiście Liddy znajdowałaby się w jego rękach to sądzi, że jako ojciec dziecka nie zabije, a zresztą gotowa jest zgłosić się do niego, lecz o połączeniu mowy być nie może.

Iza udała się na spotkanie z Nordenem.

W pobliżu czuwała nad nią Juno.

Nagle wystąpiła ciemna postać!

— Tyś! to jest? — zapytał głos Nordena.

— Tak, — odpowiedziała cichuteńko.

Iza nie widziała twarzy swego męża dokładnie, gdyż ukrywała ją przewiązka.

Wreszcie przemówił Norden:

— Dawno już nie widzieliśmy się, Izo!

Milczała, wyciągnął do niej rękę.

Niby jej nie widziała i zaraz zapytała o dziecko.

Norden zczął ją błagać, aby mu przebaczyła, że bez niej żyć nie może; majątek ma wielki i dziecko u siebie, tylko do szczęścia jej zgody i miłości mu potrzeba.

Iza, z pogardą słuchała jego wynurzeń i oświadczyła mu, że nawet za cenę życia dziecka ona z nim żyć nie będzie, bo wstręt ją przejmuje do tak wielkiego zbrodniarza.

Wtedy Norden uniósł się szalonym gniewem i próbował jeszcze raz groźbą ją przekonać. Gdy jednak i to było bezskuteczne, wtedy zawołał ochrypłym głosem:

— Dobrze! Przypiszesz sobie skutki!

Zwrócił się do odejścia. Naraz dał się słyszeć gwizd. Norden rzucił się na nią, — za nim zjawiła się postać mężczyzny, — obaj rzucili się na przelękłą kobietę.

— Nie chcesz dobrowolnie, to wezmę sobie ciebie gwałtem, — zgrzytnął Norden.

— Ratunku, ratunku, — zawołała w śmiertelnym strachu.

Krzyk jej posłyszała Juno. Zobaczywszy swą panią prowadzoną przez dwu mężczyzn, pomyślała o obronie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Matka przyszła...

Nowela.

— A cemze?

— Cem ta kces; ci ci sie najbardziej widzi.

— Jobym budozył! Wybudowałbyk wom taką wielgą chałupę, jak te tamoj w mieście, ka moja matusia miskali — ale nie poradzę jesce...

— Psyńdzie cas, psyńdzie, to jesce bedzies budazem, jak ci bausy[3]) urosnom pod nosem... Jak mój wróci z Hameryki, co jest za dalekiem mozem, a psiwiezie grosów dość, to bedemy razem budazyli. Chałupsko jus stara, hnetki sie zwali; tsa budować nową — wtedy bendzies pomagał psy budacce. Zakiel sie to stanie, to se buduj z patyków takie małe chałupecki — wis! Bedzies mioł uciechy, ze to ha, no i tak sie psyucys budazyć i wielgie. Bedzies?

— Bede!

— A moze jesce da Ponjezus cudowny, ze i tatuś twój wrócą, tosto dopiro bedziecie budazyli razem. Obok nas kiej postawicie swoją i bedzie nam dobze.

— To ja mioł i tatusia?

— A jakzebyś kcioł! Miołeś i moze jesce mos. Bóg ta wi! Widzis — to było tak! Stała sie wielga wojna na świecie, no i dobze niebardzo, tatuś twój posedł na tę wojnę okrutecną, a choć sie jus wojna skuńcyła — nie wrócił. Cekali go twoja matusia, cekali — i nie docekali... Moze pomerł na tej wojacce, moze go zabili — Ponjezus jeden wi; my nie wimy i matusia twoja tys nie wiedziała, co się śnim stojało. Wysyłała rozmaite pisania do tatusia. Z początku tatuś na mamine listy odpisował, a potem nic i nic. Co się tys nalamenciła mamusia, Boze jedyny, i na nic.

— Jezusicku! oj bidny jo sirota! Ani mamusi, ani tatusia!

— Bidnyś ty, bidny co prawda, ale na pewniaka to jesce nie mozna pedzieć, ze pomerł... Psisłoby moze o tem jakie pisanie z uzędu — a tu nic i nic... Mógł być w niewoli i jesce go nie puścili...

— A co to niewola?

— Widzis — na wojnie to tak jest: roz jeden na wirchu, raz zaś drugi. Psy tej bijacce to poniektóry, jak go nie ubili, to idzie do niewoli. Zabierają go ci, co zwyciężyli, no i prowadzą do swego kraja, coby sie ta jus śnimi nie bił. Tamoj go tsymają jaz sie wojna skuńcy, a potem pozwolą mu wrócić do swoik.

— To cemu nie wrócił, kie sie jus, jak mówicie, wojacka skuńcyła?

— Moze był niemocny jesce, to ceka az wydobrzeje — a może i wrócił, a znaleźć nie poredzi wartko, bo to sie ludziska bez wojnę porozłazili po świecie jak mrowce i nieraz długo naleść się nie mogą — a cy wiedział, ka sie twa mamus,a z Warsiawy podzieli, to nie wim. Wim tylko, ze jak stąd do taty pisała, to jus ani razu nie dostała nijakiej odpowiedzi. Zamilknął tatuś do znaku. Mamusia mówili nieroz: sama jestem, jak palec, na świecie, nie mam jus nikogo. Widzi się, ze jus i nijakich krewniaków ni miała. Gdyby byli, daliby znak o sobie.

— Tośćie mego tatusia tu w tej chałpie nigdy nie widzieli ?

— Nie widziałak!

— To z kimze matuś tu psijechali?

— A dyć sama, z tobą ino! Tatuś jus beł na wojnie!

— To jakze bedzie?

— Ano, jak da Ponjezus! Pytaj go psy paciorku, zeby tatuś wrócił i nalazł cię w tej puscy, na tej ubocy!

— Bedem pytał!

— Pytajze, pytaj!

— O Jezusicku, dajze mi tatusia, kiej mamusi ni mom! Boze, choćby jedno zyło, nie byłoby mi tak luto!

— Oj luto ci, luto, nieboraku!

— Luto, moiściewy, okrutecnie! Az mnie tu cosik pali! — I wskazał na piersi.

— Nie lamencij tak, Edek, nie lamencij; jesce mi sie rozchorujes i tyle.

— A jakis beł mój tatuś?

— Walny był chłop — niema co mówić! Bausy[4]) mioł ci takie kiej miotły. Dość ta był wysoki, gładki na gębie, a włosy to mioł carne, ino trosecke jus psysiwione. Obstarni jus kondek byli — ale barz dobry i gzecni.

Chłopak słuchał z zapartym tchem tej opowieści o nieznanym mu prawie ojcu. Zadumał się i przycichnął, ale żar tęsknoty jeszcze spotężniał i przeżerał go na wskróś. I dziwna, jak ten płomień nagle wybuchnął w tej młodej piersi! Z dniem niemal każdym, jak wzrastał w lata, jak rozbudzała się w nim coraz silniej świadomość jego losów, jak począł już zastanawiać się nad swą gorzką dolą — dojrzewał duchowo wprost z błyskawiczną szybkością i zdawał sobie jasno sprawę z swego nad wyraz bolesnego położenia. Zrozumiał, że jest ptakiem tutaj tylko przelotnym, że obce zajął gniazdo, do którego nie ma praw żadnych i każdej chwili może je utracić. Choć mu w niem dobrze było na teraz, przeczuwał instynktowo, że tak zawsze nie będzie. Lada kaprys jego opiekunki czy opiekunów — a pewnego dnia znaleść się może bez dachu nad głową, biedniejszy od tego zwierza w puszczy, któremu puszcza jest matką czułą i przytulną. Im bardziej to poznawanie swego położenia i stosunku swego do przygodnej opiekunki krystalizowało się w jego myśli, im konkretniejsze przybierało formy, tem się czuł tutaj coraz bardziej obcym i serce jego coraz mniej wrażliwe i czułe na pieszczoty tej kobiety, która była mu obcą i obcą pozo-

[3]) wąsy.

[4]) wąsy.



Góral.

WPanu Prof. Władysławowi Doruli.

Ukochał całą duszą te tatrzańskie szczyty
Wznoszące dumnie w niebo granitowe głowy
Jakoby szły na podbój słońca — hen, w błękity,
Gdzie czuwa w złotej zbroi archanioł globowy...
Ukochał te smereki wichrem kołysane —
Dziki strumień, co w Wisłę przelewa swe wody,
Te hale trzód tysiącem w lecie wypasane —
Pieśń juhasów, tych dzieci prawdziwej swobody.
Czasem przeszłość mu szepta dziwne jakieś baśni
O sławnym Janosiku, o gęślach Sabały,
Stają przed nim rycerze, jako słońce jaśni...
Śpiewa Gewont pieśń wielką, potęgi i chwały!
Skrzydła szumią królewskich ptaków w amarancie,
Wszakże idzie złocisty świt już nad Tatrami;
Słońce wschodzi, bo oto na Europy karcie
Widnieje Ona wreszcie złotemi zgłoskami...
Wstali śpiący rycerze — husarja pędzi —
Błyszczą w słońcu ciupagi — rydwan z róż uwity,
A na nim w śnieżnej szacie, jako puch łabędzi,
Majestat najjaśniejszej Rzeczypospolitej!

Robert Rydz.

stanie, choćby okazywała mu jak najwięcej życzliwości i dobrego serca. Obraz tej kobiety począł przysłaniać mu coraz silniej rysujący się w jego synowskiej duszy obraz matki, prawie mu nieznanej, bo tylko w mgłach wspomnienia żyjącej, a przecież tak mu dziś drogiej i bliskiej i z każdym dniem droższej i bliższej. Z kobietą obcą łączyła go tylko gwara góralska, której się tu nauczył i pewna nić sympatji — lecz z wytworzonem w swej duszy obrazem nieżyjącej matki łączył go silny, nierozerwalny węzeł gorącej miłości i niesłabnącej, owszem coraz bardziej potężniejącej tęsknoty. Te dwa płomienie paliły się w jego sercu i duszy z taką przemożną siłą, że uczucie sympatji do swej opiekunki było wobec nich tylko drobną, małoznaczącą iskierką. Nie mógł dla niej zdobyć się na żadne gorętsze słowo, na żaden odruch cieplejszy. Bolało go to nieraz, lecz nie potrafił wykrzesać z swej duszy tego, czego w niej nie było. Tęsknota za ojcem, którego zupełnie przypomnieć sobie nie zdołał, była o wiele słabsza. Wszystko przytłaczał obraz matki, promieniejący w jego duszy wrażliwej blaskiem przeogromnej mocy, przed którą wszystko ustąpić musiało. Z niej sobie zrobił świętość i bóstwo i przed obrazem tego bóstwa palił się, jak lampa wieczorna, nigdy niegasnącym żarem.

(Dokończenie nastąpi).

Pogaństwo dni dzisiejszych.

Przed wielu wiekami ludzie potworzyli sobie pojęcia licznych bóstw. I tak Dzeus-Jowisz, najwyższe bóstwo starożytności, słowiański Światowid był bogiem mocy i panowania. Bożek Merkury opiekował się ludnością trudniącą się handlem i oszustwem, Afrodyta-Wenera miała w swej opiece miłość występną, rozpustę. Pijaństwem zaś opiekował się bożek Dionizios-Bakchus.

Z biegiem czasu chrześcijaństwo zawładnęło wielką ilością umysłów ludzkich, tocząc zwycięski bój i wypierając coraz dalej i dalej wierzenia pogańskie. Walka ta jednakże trwała wieki całe, trwa dzisiaj, i trwać będzie prawdopodobnie tak długo, jak długo ludność istnieć będzie. Starożytne wierzenia, wady królują nadal nad wielu ludźmi, tylko w zmienionej szacie. Zwykle, gdy człowiek zapomina o wierze w Boga, najwyższą Miłość, Piękno i Dobro, gdy obojętnieje w tej wierze, dostaje się pod wpływ dzisiejszych wierzeń pogańskich.

I tak ,jeden na miejsce czci Boga tworzy sobie bałwana samolubstwa, pychy, służbie której poświęca swe życie. Inny oddaje najwyższą cześć bożkowi złota, bogini skąpstwa i chciwości, które zasłaniają człowiekowi widok na lepsze cele życia. Inni jeszcze najwyższą czcią otaczają dawną Wenerę, dzisiejsze zmysłowe użycie, pośledniejsze pozostawiając miejsce czci innych bóstw, jak np. dawnego Bakchusa — pijaństwa. Długo trwałoby wyliczanie bożków czczonych dzisiaj, szczególnie przez ludzi hełpiących się swą niewiarą lub obojętnością. Jakże często taki nieszczęśliwy człowiek dzień cały nie ma spokoju z powodu snu rzekomo „złowróżbnego“ lub też innych śmiesznych, a politowania godnych przesądów.

Przesądy nie wytrzymują krytyki, a głównie kult różnych nowoczesnych bożków, zamieniających się w nałogi pychy, rozpusty, pijaństwa, chciwości są przekleństwem życia ludzkiego, przyczyną złego, smutku, niechęci do życia, samobójstw lub morderstw

Śmiało można twierdzić, że np. morderstw dziewięćdziesiąt kilka na sto jest następstwem czci bałwana złota i starożytnej Wenery, czyli dzisiejszej rozpusty przy udziale pijaństwa (nawet w rodzinach zdarzają się takie zabójstwa o bogactwo, o kobietę, przez kobietę, czy dla kobiety).

Jak wznawianie i czczenie bożków dzisiejszych jest główną i jedyną może przyczyną wszelkiego nieszczęścia i zła prawdziwego w życiu ludzkiem, tak znowu wiara i miłość Boga, daje nam zawsze pewną ostoję, spokój i radość życia. Czynna wiara w Boga, naturalne a konieczne w życiu cnoty, jak oszczędność, szlachetną miłość rodziny, odwagę, roztropność, pracowitość i t. d. wzmacnia i upiększa. W spotykających zaś człowieka cierpieniach i przykrościach wskazuje miłość Boga człowiekowi drogę, gdzie ma szukać pomocy i ukojenia, uczy go, że Bóg przebywa zawsze z nami, że znane Mu są nasze troski i bole, że pragnie tylko naszego dobra, chociażbyśmy zamiarów Jego nie zrozumieli i chociażby dopuszczenie Jego ciężkiemi i bolesnemi nam się wydawały.

Dwie te wiary, w bożków dzisiejszych i w Boga najwyższej miłości, dobra i piękna, nigdy się nie pogodzą, istnieć obok siebie nie mogą, jedna lub druga musi w nas być zwycięską. A która ma być górą, to już od każdej, czy od każdego z nas zależy, w celu obioru jej pozostawił nam Stwórca próbę życia, możność pozyskania nagrody...

Jak wieczór rozstrzyga o wartości dnia spędzonego, tak kiedyś wieczór życia rozstrzygnie o jego wartości, o tem jaką wiarę obraliśmy za przewodniczkę naszą.

Konieczną jednakże jest pamięć o niechybnym zmierzchu życia i zastanowienie się, na jakiej drodze się znajdujemy. Gdy dobrą drogę wybierzemy i w życiu pozyskamy spokój słoneczny i zadowolenie, i wieczór życia napewno nie przerazi nas kiedyś swą grozą, lecz dobrym się dla nas okaże.

Jan Pelczar.

Poradnik lekarski.

Oprócz podanych w poprzednim numerze „Roli“ rak może powstać jeszcze na następujących częściach ciała:

Rak migdałka. Objawy: a) tępy ból w gardle, niewyraźny głos i trudności połykania, b) stopniowe powiększenie się gruczołów na szyji.

Rak przełyku rozpoczyna się trudnością w połykaniu z początku stałych, a później papkowatych, a wreszcie płynnych pokarmów.

Rak żołądka. Jeżeli osoba powyżej lat czterdziestu straci nagle apetyt, odczuwa ściskanie w dołku lub bóle, a niekiedy mdłości lub wymioty, chudnie i słabnie, to mogą być wczesne objawy raka. Podobne objawy występują przy mniej poważnych cierpieniach, lecz odróżnić je może tylko lekarz i dlatego nie należy zwlekać z poradą lekarską, aby nie opóźniać możności leczenia.

Rak jelit. Najwcześniejszy objaw jest wzrastająca obstrukcja. Wiele osób myli się, że zaparcie stolca jest zwykłem zjawiskiem w podeszłym wieku; — tak nie jest — zaparcie stolca występuje zarówno u ludzi młodych, jak i starych z przyczyn najróżnorodniejszych. Lecz jeżeli przy oddawaniu stolca towarzyszy krwawienie i wydzielanie śluzy i ropy, a zwłaszcza parcie na stolec, to objawy te są bardzo podejrzane i wymagają koniecznie zasięgnięcia porady lekarskiej.

Rak nerek. Objawy: ból w okolicach nerek lub krew w moczu lub jedno i drugie.

KRONIKA.

Przepowiednie na czerwiec. Są ludzie, którzy wierzą w przepowiednie kalendarzowe co do pogody. Oczywiście wszelkie przepowiednie są tylko przepowiedniami, które czasem się sprawdzają, ale jeszcze częściej zawodzą. Wobec tego, kto chce im wierzyć, niech wierzy, kto nie, to nie. Jedna z gazet codziennych zamieszcza takie przepowiednie na czerwiec. Brzmią one, jak następuje: Miesiąc dość pogodny o średniej ilości opadów. Pod względem temperatury przeciętnie ciepły, przyniesie czerwiec w pierwszej swej połowie i w ostatnim tygodniu miesiąca kilka gorących lub upalnych dni. Większe obniżenie temperatury zaznaczy się przypuszczalnie na samym początku miesiąca i około 18 czerwca. Szczególnie początek miesiąca przyniesie zaburzenia atmosferyczne.

Morderstwo w Białej. W ubiegłym tygodniu dwaj nieznani ludzie dokonali w Białej morderstwa rabunkowego na osobie Hugona Mentschyka, w domu jego przy ul. Siemiaskiej. Jeden ze sprawców dał do Mentschyka dwa strzały z rewolweru, zabijając go na miejscu. Żona zabitego przeszkodziła rabunkowi kilkuset złotych, które zabity miał przy sobie. Sprawcy napadu zdołali zbiec.

Wieś Mościce. Tarnowska fabryka związków azotowych, nazywana „Nowym Chorzowem“, otrzyma niebawem nową nazwę „Mościce“, która szybko się popularyzuje. Fabryka ta wznosi się na gruntach dwóch wsi podtarnowskich: Dąbrówka Infułacka i Świerczków, które połączywszy się w jedną gminę, zwróciły się do Prezydenta Mościckiego z prośbą o pozwolenie nazwania nowej gminy nazwą „Mościce“. P. Prezydent zgodził się na tę prośbę, wobec czego sprawa poszła do zatwierdzenia władz administracyjnych.

Upamiętał się. Gazety codzienne zamieściły oświadczenie ks. Eugenjusza Okonia, w którem ten żałuje za swoje czyny i przyrzeka prowadzić odtąd prawdziwie kapłańskie życie. Jest to czyn godny pochwały, gdyż ks. Okoń wiele złego zrobił dla ludu. Jeszcze przed wojną zaczął on swoją burzycielską robotę. Jeździł od wsi do wsi, wygłaszał mowy, podjudzał jednych przeciw drugim, a biedny lud polski, szanując sukienkę kapłańską, wierzył mu i wybierał go posłem. A on w sejmie dokazywał dalej. W końcu jednak i najgłupsi poznali się na nim i do obecnego sejmu już go nie wybrano. Wreszcie i sam poznał, że źle czynił. Upokorzył się i dał przykład innym wichrzycielom, aby i ci poszli w jego ślady i nie tumanili więcej biednego narodu. Oby się tak stało! Obecnie ks. Okoń odbywa pokutę w Dukli.

Rabunek tytoniu pod Lwowem. W ubiegłym tygodniu bawiła we Lwowie Regina Dittnerowa, właścicielka sklepu tytoniowego w Gródku Jagiellońskim, która poczyniła tam różne zakupy dla swej trafiki, a nadto wyfasowała w hurtowni wiele papierosów i tysiąc paczek najprzedniejszego tytoniu macedońskiego. Towar swój załadowała na wóz o dwóch koniach, którymi powoził Andrzej Mołodyński z Gródka Jagiellońskiego. Po południu Mołodyński wyjechał z towarem ze Lwowa, a gdy wieczorem minął już Zimną Wodę, na wóz jego napadło kilku osobników, którzy steroryzowali Mołodyńskiego rewolwerami i zrabowali mu cały zapas tytoniowy, z którym umknęli.

Zbrodnia obok Rawy Ruskiej. Do urzędu śledczego policji państwowej we Lwowie nadeszła wiadomość o strasznej zbrodni, jaką kilku chłopców popełniło w gminie Pogorzeliska obok Rawy Ruskiej. W gminie tej od od szeregu lat prowadził karczmę i handel towarów mieszanych niejaki Moses Mensch. Ubiegłego piątku po wieczerzy szabasowej Mensch przed godziną 10 wieczór zamknął karczmę i z rodziną ułożył się do snu. W godzinę później kilku tamtejszych mieszkańców zjawiło się przed karczmą, którzy pukaniem do drzwi domagali się otwarcia i sprzedania im wódki. Na to pukanie Mensch oświadczył im przez okno, że wódki nie sprzeda z powodu spóźnionej pory. Odmową tą chłopi uczuli się obrażeni. a po chwilowym postoju odeszli z przed domu. W jakiś czas później wrócili i wykonali ułożony zgóry plan zemsty. W kilku miejscach dom Menscha oblali naftą i podpalili, poczem sami zbiegli. W krótkim czasie cały dom stanął w płomieniach. Przebudzony ze snu blaskiem płomieni Mensch wybiegł z domu na podwórze, a zobaczywszy, że pali się cały dach, z powrotem wbiegł do domu, aby zawołać żonę i zabrać dwoje śpiących dzieci. Tymczasem równocześnie zawalił się dach wraz z powałami, a palące się belki i deski z gruzem przysypały całą rodzinę Menscha. Dom spalił się doszczętnie. W płomieniach śmieć znalazł Mensch z żoną i dwojgiem dziećmi. Jedno liczyło 10 a drugie 8 lat. Gdy przebudzili się ze snu inni gospodarze zamieszkali w pobliżu, o ratunku już nie było mowy. Dom Menschów przedstawiał jedno duże palenisko. Komenda powiatowa policji państwowej wdrożyła dochodzenia i już na wstępie ujęła dwóch sprawców tej zbrodni.

Runięcie skały. Ubiegłej środy w nocy wielka skała runęła na drogę powiatową prowadzącą z Kut koło Kosowa w powiecie stanisławowskim do Rostoka. Kamienie zawaliły drogę na przestrzeni dwu kilometrów. Dwa domy zasypane spadającemi odłamkami skał są zupełnie zniszczone. Spadające głazy połamały słupy telegraficzne i zniszczyły połączenia.

Pożar Niżniowa. W ubiegłym tygodniu spłonęło doszczętnie miasteczko Niżniów, koło Tłumacza. Setki rodzin, pozbawionych dachu nad głową, obozuje pod gołem niebem. Ogień wybuchł z niewiadomej przyczyny w domu Wasyla Małamkija. Z chwilą, kiedy płomienie ogarnęły budynek, rozległ się ogłuszający huk kilku wybuchów. To widocznie pękały granaty ręczne, przechowywane przez synów Małamkija, członków ukraińskiej organizacji wojskowej. Wyrzucane w powietrze wybuchem granatów płonące żagwie padały na dachy domów sąsiednich, powodując gwałtowne rozszerzanie się żywiołu, podsycanego wiatrem. Wkrótce całe miasteczko stanęło w płomieniach. Miejscowa straż pożarna była wobec ogromu katastrofy bezradna, nadeszła pomoc z Koropca również nie mogła opanować żywiołu. O katastrofie zawiadomiono Stanisławów, skąd załadowano na pociąg oddziały straży ogniowej i policji, pociąg jednak nie ruszył, gdyż było już zapóźno. W ciągu 5 godzin pożar zamienił całe miasteczko w zgliszcza. Pastwą płomieni padło 200 budynków, w tem ponad 70 domów mieszkalnych. Pogorzelcy zdołali uratować tylko znikomą część swego dobytku. Głodujące rodziny obozują pod gołem niebem. Drobne dzieci śpią na gołej ziemi, przykryte uratowanemi łachmanami. Z pożogi ocalał jedynie dworzec kolejowy.

Ujęcie rabusia na Jasnej Górze. Stróż nocny, dozorujący Bazylikę Jasnogórską w Częstochowie, ujął opryszka Anatoljusza Siedleckiego, mieszkańca Warszawy, który ukrył się na chórze, nad kaplicą. Opryszek zamierzał niewątpliwie w nocy obrabować świątynię. Zaopatrzył się on uprzednio w łom i dwa grube sznury, które ukrył w jednym z konfesjonałów. Zamiar nie udał się. Opryszka ujęto i oddano w ręce policji częstochowskiej, która osadziła go w miejscowem więzieniu. Jak się następnie okazało, Siedlecki okradł przed kilku dniami kościół św. Zygmunta w Częstochowie, gdzie przybył do zakrystji i prosił o pozwolenie służenia do

majowego nabożeństwa. Skorzystawszy z chwilowej nieobecności służby kościelnej, skradł puszkę, zawierającą 100 złotych. Po wydostaniu pieniędzy puszkę porzucił. Według dochodzenia policyjnego Siedlecki już dwa razy był karany więzieniem za rabunki w świątyniach.

Szczekający rekrut. Na ciekawy pomysł wykręcenia się od wojska wpadł pewien młodzian, mieszkaniec Warszawy, tęgi i wysoki dryblas, który stawał onegdaj przed komisją poborową. Już na wstępie, znalazłszy się w poczekalni, zaczął udawać warjata. Łażąc na czworakach, jął szczekać jak pies. Chwilami wył, siedząc na zadzie, to znów warczał i skomlił. Podoficerowie odrazu poznali się na głupiej symulacji, a nowobrańcy zanosili się od śmiechu. Tymczasem człowiek-pies jął sobie pozwalać na coraz dziksze wybryki. Niewiadomo co poczuł do znajdującego się w poczekalni Mordki Zemelmana, dość, że co chwila podbiegał doń, ujadając gwałtownie. Raptem zrobiło się zamieszanie. Symulant doskoczył do Zemelmana i ugryzł go w łydkę. Ten wrzasnął z bólu. Z sąsiedniego pokoju, w którym odbywało się posiedzenie komisji, wybiegł przedstawiciel starostwa.

— Co się tu dzieje? — zapytał.

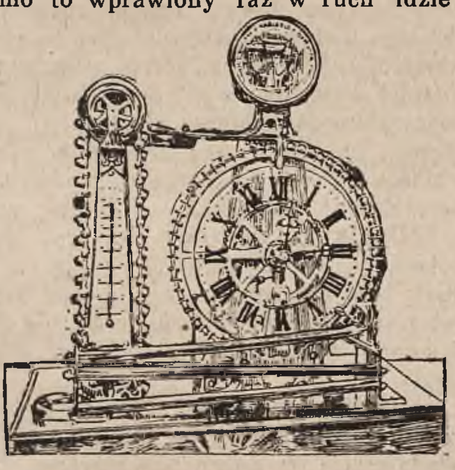
— Hu! hu! — szczekał symulant.

— Ano, mamy takiego, co udaje psa — odrzekł podoficer — pokąsał już jedną osobę.

— W takim razie trzeba mu nałożyć kaganiec. Wyślij pan gońca do komisarjatu. Niech zaraz przyniesie.

Chóralny wybuch śmiechu był odpowiedzią na to zarządzenie. Zdetonowany symulant zerwał się z czworaków i zaczął zdejmować garderobę.

Zegar bez „werku“. Pewien samouk wynalazca wymyślił ciekawy zegar, w którym niema ani sprężyny, ani wahadła, a mimo to wprawiony raz w ruch idzie i pokazuje godziny. Zegar ten jest urządzony w ten sposób, że zębaty łańcuch umieszczony po lewej stronie zegaru podnosi kulki ołowiane do góry, a te staczają się potem swym ciężarem na zęby kółka od zegara. Tym sposobem obracają główne jego koło. Następnie spadają do rynienki, którą wracają na dawne miejsce, gdzie znów zębaty łańcuch unosi je ku górze. W ten sposób kulki, wykonując podróż bez przerwy, sprawiają, że zegar ciągle idzie.



Sześcioro dzieci przysypanych ziemią. Jak podają gazety lubelskie, na przedmieściu Cegielnia pod Równem w miejscu, gdzie odbywa się ostre strzelanie, dzieci zawsze zbierają wystrzelone gilzy, które sprzedają handlarzom. Tak było i tym razem. Siedmioro dzieci weszło do rowu, poczem jedno wyszło, a sześcioro pozostało w rowie, bawiąc się lub grzebiąc za gilzami. Nagle runął na nie wał gliny. Pozostałe na powierzchni dziecko, widząc co się dzieje, zaczęło krzyczeć i wołać o pomoc. Nadbiegli ludzie i uratowali 5 ro dzieci, szóste, niestety, było już martwe.

Oszust jako „święty“. Na Wołyniu pojawiają się co pewien czas sprytni wyzyskiwacze, żerujący na głupocie i łatwowierności ludzkiej i robiący na tem wcale niezgorsze interesy. Ukazują się więc tu dawni członkowie rodzin carskich, a nawet sam „car“, to znowu u któregoś z chłopów „odnawiają się same... obrazy świętych lub „ikony“, a zawsze dotyczący ciągnie z tego grube zyski. Ostatnio we wsi Karpiłówka, na Polesiu, pojawił się „święty“, ściągający do siebie tłumy ludzi, pozostawiających na miejscu górę pieniędzy, za cudowne rzekomo leczenie chorych. „Święty“ leczy ich wodą z sąsiedniej sadzawki, z czego widać, że lekarstwa nie wiele kosztują. Przed kilku miesiącami za uprawianie nałogowo pijaństwa został on wyrzucony przez ojca z domu. Błąkał się jakiś czas po Polesiu i z drogi napisał do domu, iż nagle „oniemiał“. We śnie miał mu się ukazać jakiś „święty“, który kazał mu wrócić do ojca i wykąpać się w miejscowej sadzawce, poczem ma nastąpić „cud“. Ojciec uwierzył synowi i zgodził się na jego powrót. Sprytny oszust, w obecności ojca, wszedł nocą do sadzawki, zanurzył się, poczem „nagle“ zaczął... mówić. Od tej chwili karjera jego, jako „świętego“ została ugruntowana. „Cud“ uleczenia „niemego“ rozszedł się szeroko i daleko. Fakt ten postanowił wyzyskać „święty“ i ogłosił, że leczy w „cudownej“ sadzawce wszystkie choroby. Ciągną więc do niego tłumy naiwnych i składają złote ruble, dolary i złote polskie. Interes idzie świetnie, bo przecież na ciemnocie ludności kresowej tak łatwo żerować... Władze jednak powinny corychlej zamknąć „świętego“ aby nie bałamucił ludzi.

Masowe zatrucie żołnierzy. Z Lidy donoszą o wypadku masowego zatrucia żołnierzy V. pułku lotniczego. 78 żołnierzy tego pułku udało się na zabawę do jednej z pobliskich wsi. W czasie zabawy pili żołnierze napoje chłodzące, a po powrocie do koszar zachorowali wszyscy wśród objawów zatrucia. 22 ciężej chorych żołnierzy pozostaje w leczeniu szpitalnem. Żandarmerja wojskowa wszczęła dochodzenia.

Polowanie na foki i delfiny. W ciągu ostatnich dni pojawiły się na morzu w pobliżu polskich wybrzeży liczne stada delfinów i fok, które wyrządzają rybakom znaczne szkody. Zarówno foki jak i delfiny zjadają ryby w sieciach i drą sieci. Foki są tak śmiałe, że w wielu wypadkach przy wyciąganiu sieci z rybami na brzeg rzucają się na złowionego łososia, rwą sieci i porywają rybę. Rybacy zabili wiele fok drągami i bosakami Futra z takich fok nie nadają się do przeróbki, tylko tłuszcz jest coś wart jako smar. Urząd rybacki ustanowił premje dla rybaków za złowione delfiny. Za szczękę delfina dostaje się 10 zł. Dotychczas wypłacono premie za 117 sztuk.

Bestjalstwo policji litewskiej. Z Kowna donoszą, że szybkie stracenie oskarżonego o udział w zamachu na Woldemarasa studenta Wasiliusa wywołało przygnębiające wrażenie. Za niezrozumiałe ma uchodzić szybkie przeprowadzenie procesu z wykluczeniem wszelkiej jawności. Krążą pogłoski, że Wasilius wogóle nie złożył żadnych zeznań i że torturowany był w bestjalski sposób przez litewską policję polityczną. Krążące po Kownie pogłoski opowiadają niesłychane rzeczy o męczarniach, które musiał znieść Wasilius w czasie badania go przez osławionego prezydenta policji kowieńskiej Vezisa. Miano mu nakładać na głowę żelazną koronę, którą potem ściskano. Wasilius miał umrzeć w czasie tortur na udar serca. Podobno i wobec innych oskarżonych stosowano takie tortury, aby wymusić na nich przyznanie się do czynów, których nie popełnili.

Trąba powietrzna. Z Moskwy donoszą, że w okręgu Perejasławskim szalała trąba powietrzna o niezwykłej sile. Około 100 domów i chat zostało zrównanych z ziemią. Pięć osób poniosło śmierć, zginęło również dużo bydła.

Masowe rozstrzelania na Ukrainie. Z Charkowa donoszą o licznych wyrokach śmierci na Ukrainie. W Kijowie rozstrzelano 5 włościan oskarżonych o przygotowanie powstania przeciwko władzom. W Krzywym Rogu rozstrzelano byłego obywatela ziemskiego Trybusznego. W Browarach pod Kijowem skazano na śmierć niejakiego Subotowskiego oskarżonego o współdziałanie z Polakami podczas okupacji Kijowa przez wojska polskie w 1920 r.

Katastrofalne burze. W maju niemal w całej Europie panowały niezwykłe burze z gradem, wśród których przychodziło w niektórych miejscowościach do oberwania chmur. Może największa z nich nawiedziła okolice Hamburga. Burza ta przypominała amerykańskie tornado. Wicher powyrywał stare drzewa. W jednej okolicy cały las jodłowy został przez wicher zupełnie obalony. Wiele domów zostało wywróconych. W Elstorf tornado wywrócił 50 domów i rozniósł ich ściany na wszystkie strony. Drzewa owocowe poniszczone. Liczba zabitych dochodzi do 30 osób, liczba ciężko rannych do kilkuset. Równocześnie spadł grad olbrzymiej wielkości. Straty obliczają na miljom marek. Od piorunów zginęło kilka osób, oraz wybuchły w kilku miejscach pożary.

Napad w wagonie. Jednym z pociągów, zdążających w stronę Paryża we Francji, wracała do domu pewna pani, która pobrała z kasy większą sumę pieniędzy. Dwaj rabusie, dowiedziawszy się jakimś sposobem, kiedy pani owa będzie jechała, postanowili ją obrabować. W tym celu, przebrawszy się w mundury policjantów, wsiedli do pociągu, a upatrzywszy stosowną chwilę, gdy pani owa sama została, zabrali się do dzieła.



Jeden stanął przy drzwiach, aby im nikt w zbrodni nie przeszkodził, drugi zaś zaczął dusić swą ofiarę. Na krzyk jednak mordowanej nadbiegli ludzie z sąsiedniego przedziału i jednego z rabusiów przytrzymali. Silnie poturbowanego przez pasażerów oddano w ręce policji. Drugi zdołał zbiec, wyskoczywszy z pociągu.

Zniżka podatków we Francji. Rząd premjera francuskiego Poincarégo postanowił obniżyć podatki o blisko miljard franków francuskich. Ponieważ kasy państwowe są pełne i stan pieniężny i gospodarczy państwa dobry, rząd francuski wystąpił z takim planem. Spotkał się on z gorącem poparciem całego narodu, który był dotychczas zbyt przeciążony podatkami. Politycy francuscy mają nadzieję, że przez obniżenie podatków zmniejszy się drożyzna we Francji.

Olbrzymi pożar w Frankfurcie. W części przemysłowej frankfurckiego portu wybuchł wielki pożar, który objął wszystkie zakłady fabrykacji gumy oraz magazyny i cysterny z naftą, benzyną i olejami. Pożar przybrał tak olbrzymie rozmiary, że wielkie słupy płomieni do kilkuset metrów wybuchały w powietrze, a szeroka fala czarnych dymów pokryła cały Frankfurt gęstą zasłoną. Straże pożarne daremnie walczyły ze strasznym pożarem, który przybierał coraz większe rozmiary i z trudem tylko został ugaszony.

Pszczoły powodem do rozwodu. Niezmiernie komiczna sprawa rozwodowa była przed niedawnym czasem przedmiotem rozprawy jednego z sądów w Norwegji. Wniosła ją do sądu niejaka pani Stozenson, której mąż, zamożny właściciel posiadłości ziemskiej zajmuje się również pszczelarstwem. Początek nieporozumienia pomiędzy małżonkami datuje się z przed 2 lat, gdy Stozenson wybrał się koleją w odwiedziny do przyjaciela swego również namiętnego pasiecznika, zabierając ze sobą w jakimś sobie wiadomym celu kilkanaście pszczół wraz z ich królową. W pewnym momencie, gdy Stozenson przyglądał się przez okno wagonu pięknemu krajobrazowi, pociąg zahamował zbyt gwałtownie i na skutek powstałego z tej przyczyny wstrząsu, spadł mu na głowę kosz z jajami należący do jakiejś wieśniaczki. Sporządzona z tego powodu jajecznica splamiła ubranie rozzłoszczonego bartnika, który miał jeszcze tę nieostrożność, że przy oczyszczaniu plamy odemknął trzymane w kieszeni pudełeczko z pszczołami. Zaniepokojone nagle owady poczęły ciąć żądłami swego opiekuna, część ich wyfrunęła na wagon, ale powróciła wkrótce do Stozensona, siadając mu na twarzy, czole i głowie i kłójąc niemiłosiernie. To doprowadziło go do takiej wściekłości, iż publiczność, sądząc, że ma do czynienia z furjatem, zaalarmowała służbę kolejową. Mimo protestów nieszczęsnego związano go sznurami i wysadzono na najbliższej stacji, skąd przetransportowano go do domu dla obłąkanych. Przesiedział on tam kilka dni, poczem uznany za zdrowego powrócił w swe rodzinne strony. Od tej chwili rozpoczyna się tragifarsa, która właśnie spowodowała skargę rozwodową żony niefortunnego hodowcy pszczół. Stał on się bowiem pośmiewiskiem całej okolicy, której mieszkańcy dowiedzieli się z gazet o jego niezwykłym wypadku kolejowym, zakończonym kwaterunkiem „u warjatów". Ambitna pani Stozenson, nie chcąc być żoną tak ośmieszonego męża, wniosła na tem tle skargę rozwodową. A więc baczność pszczelarze! Wybierajcie, co lepsze: pszczoła czy żona?

Upały na północy Europy. Donoszą ze Sztokholmu, że w całej Szwecji panują od kilku dni wielkie upały. W północnych prowincjach Szwecji, gdzie temperatura w obecnej porze roku nie przekracza zwykle 8 stopni, termometr dochodzi w cieniu do 25 stopni ciepła.

Bandyci chińscy. Z Chin donoszą, iż komisarz spraw zagranicznych w Hankou został zaalarmowany wiadomością, iż dwom misjonarzom angielskim i trzem misjonarzom amerykańskim zagraża śmierć z rąk bandytów chińskich w Tao-Juan. Rząd natychmiast wysłał w tym kierunku oddziały wojskowe, których zadaniem będzie ocalenie misjonarzy. W ostatnich czasach daje się zauważyć wzrost wrogich tendencyj wśród Chińczyków w stosunku do Europejczyków, a przedewszystkiem misjonarzy. Wywołuje to poważne zaniepokojenie wśród kolonji europejskiej na terenie Chin.

Ożyła na stosie. W miejscowości Poona w Indjach angielskich zmarła niedawno dziewczynka. Według zwyczaju hinduskiego miała być spalona na stosie. Ułożono więc zwłoki dziewczynki i podpalono stos. W chwili, gdy płomienie objęły stos, dziewczynka wstała i zaczęła wzywać pomocy. Zdołano wydobyć ją na czas z płonącego stosu. Hindusi wierzą, że stał się cud i poświęcili uratowaną dziewczynkę kultowi Brahmy. Jak stwierdzono, był to wypadek letargu, który się odbył w tych niezwykłych okolicznościach.

RZECZY CIEKAWE.

Król także tego nie wie.

Stary szwedzki nauczyciel opowiada o zabawnym epizodzie, z życia króla Oskara II. Nauczyciel ten miał sposobność często prezentować swoich uczniów królowi podczas jego pobytu w kąpielach Manstrand. Pewnego dnia król przysłuchiwał się nauce historji, podczas której nauczyciel opowiadał o wielkich ludziach z epoki Gustawów. Podczas repetytorjum, król, ucieszony widocznie trafnemi odpowiedziami uczniów, zwrócił się do nich z dobrotliwym uśmiechem i rzekł: „A teraz czy nie moglibyście mi powiedzieć, którzy byli najwięksi królowie Szwecji?“ W jednej chwili podniosły się do góry ręce i odpowiedź zabrzmiała chórem: „Gustaw Waza... Gustaw Adolf... Karol XII.“ — „Bardzo ładnie“ — odpowiedział król — „ale ty tam, maleńka, w kącie potrafisz zapewne nazwać mi jeszcze jednego wielkiego króla“ — dodał, zwracając się do małej dziewczynki, której nauczyciel szepnął w tej chwili kilka słów. „Któregoż więc króla zaliczasz do największych?“ — powtórzył interlokutor pytanie: „Oskara II.“ — brzmiała nieśmiała odpowiedź. „Tak? No i cóż to zrobił wielkiego ten Oskar II?“ — zapytał uśmiechnięty monarcha. Ale tu kończyły się wiadomości historyczne małej uczenicy. Zaczerwieniona wykrztusiła ostatecznie: „Ja nie wiem!“ Teraz przystąpił król do zmieszanego dziecka i rzekł z dobrodusznym uśmiechem, głaszcząc jej jasne włoski: „Nie bój się córeczko, ja tego także nie wiem!“

Zwyczaj podziału dnia.

Podział dnia na 12 godzin sięga odległej starożytności. Powstał on z górą 4.000 lat temu u Akkadów, mieszkańców Mezopotamji. Zauważywszy, że rok składa się w przybliżeniu z dwunastu miesięcy księżycowych, podzielili oni zodyak na dwanaście części t. j. na znaki zodyakalne. W każdym znaku została wybrana najjaśniejsza gwiazda i wschód jej zaznaczył początek godziny. A zatem początkowy ten podział dzielił dobę na 12 godzin. Lecz ponieważ godziny te były zbyt długie, podzielono dobę na 24 godziny. Od zachodu słońca do wschodu, t. j. mniej więcej od godz. 6 wieczorem do 6 rano, liczyła godziny jedna osoba, obserwująca wschód gwiazd, które wybrane zostały na wskaźniki godzin. Godziny dzienne liczył drugi obserwator, posługujący się gnomonem. Stąd poszło podwójne liczenie godzin nocnych i dziennych. Obrachunek ten przeszedł następnie do innych ludów azjatyckich, a wreszcie do Egiptu, Grecji i Rzymu. Podział godziny na 60 części powstał w Babilonie. Wynikł on pod wpływem chęci obliczania wszystkiego według układu dziesiętnego i dwunastkowego. Wszystkie miary podzielone zostały na 60 części.

Ile kosztują rewolucje meksykańskie?

Meksyk, kraina wiecznych rewolucyj i buntów, ponosi skutkiem ustawicznych walk domowych bardzo poważne szkody. I tak wedle obliczeń, które dokonane zostały w ostatnich dniach przez meksykańskie ministerstwo finansów, szkody i wydatki, jakie pociągnęły za sobą ostatnie walki rewolucyjne, dosięgnęły ogólnej sumy 150 miljonów złotych. Na sumę tę składają się zarówno wydatki na materjały wojenne, jak i odszkodowanie, jakie płacić musi rząd za zniszczenia, spowodowane działaniami wojennemi.

Ochrona krokodyli.

Obecnie panuje moda na przedmioty, wyrabiane ze skóry krokodylowej. Mamy z tej skóry buciki, portmonetki, portfele, torebki oraz dużo różnych przyborów podróżnych.

Dotychczasowe zwykłe polowanie na krokodyle zamieniało się w masowe tępienie tych płazów, odbywające się w tak wielkiem tempie, że w niedługim czasie krokodyl byłby taką rzadkością, jaką jest obecnie bizon lub żubr.

Władze policyjne w Louisianie i Florydzie wydały rozporządzenie zabraniające na pewien czas polowania na krokodyle, przebywające w rzekach, oraz zupełnie zabroniły zabijania krokodyli, przebywających w kanałach i rozlewiskach. Za zabicie krokodyla z tych dwóch ostatnich kategoryj grozi kara 500 dolarów i miesiąc więzienia.

Rozporządzenie to zostało wywołane obawą przed wciąż wzrastającą plagą szczurów piżmowych, któremi żywią się krokodyle. Ostatniemi czasy z powodu tępienia tych płazów ilość tego gatunku szczurów tak się zwiększyła, że rząd zmuszony był organizować kosztowne ekspedycje dla walki z temi szkodnikami.

Charakter pisma u obłąkanych.

Jednym z najcharakterystyczniejszych rozdziałów w książkach, traktujących o grafologji, jest zawsze opis cech pisma warjatów. Ciekawe dane podają w tej dziedzinie badacze. Chorzy na manję wielkości piszą literami wielkiemi z długiemi zakrętasami. Forma liter jest często nadzwyczaj fantastyczna.

U większości warjatów jednak pismo bywa drobne, wyrazy nie ustawione symetrycznie, rozpadają się w wierszu, a i same wiersze to lecą w górę, to opadają na dół.

Pismo warjatów charakteryzują jeszcze liczne kleksy, zamazania, jedne litery są większe nieproporcjonalnie od drugich, często kropki dzielą nietylko wyraz od wyrazu, ale i literę od litery.

W piśmie obłąkanego pełno jest zazwyczaj nawiasów, pokreśleń wyrazów, często nawet zdarzają się całe wyrazy wypisane literami drukowanemi.

Uczeni, badający pismo warjatów, doszli do takiej wprawy, że z charakteru ich prac mogą odczytać, jaką manję ma obłąkany, czem był w życiu za czasów normalnego funkcjonowania mózgu, czy był inteligentnym, czy analfabetą. Długa to i mozolna nauka badanie pisma warajtów. Czy praktyczne zastosowanie tej wiedzy usprawiedliwia ogrom pracy w nią złożony, trzeba wątpić.

Ale nie wszystko na świecie robi się dla chleba.

Wzrost szybkości.

Niesłychana szybkość, z jaką przesyła się wiadomości za pośrednictwem fal eteru sprawia, iż co pewien czas porównywa się radjo z innemi środkami komunikacji. Niezmiernie ciekawe jest zestawienie następujące. W roku 1800 wiadomości z Warszawy przybywały do Wilna dyliżansem pocztowym w ciągu kilku dni; w r. 1880 kolej żelazna dostarczała listy z Warszawy do Wilna w ciągu doby; w roku 1900 wiadomość telegraficzna nadchodziła do Wilna w ciągu 4—5 godzin, licząc w tem czas, zużyty na manipulację i formalności urzędowe. W r. 1920 samolot przybywał z Warszawy do Wilna w ciągu 3-ch godzin. Dziś zaś, za pośrednictwem radja wiadomość mknie na fali eteru z szybkością prawie nie dającą się wymierzyć; dochodzi ona uszu słuchacza w tej samej chwili, w której ją mowca stacji radjowej wypowiada przed mikrofonem.

Odpowiedzi Redakcji

Pp.: **Maryśka z Kamionki:** „W noc świętojańską" dobre. Na poprzedni list nie odpowiadałem w „Roli", gdyż Pan Kowalczyk obiecał napisać list, a że uczynił to zbyt późno, to nic dziwnego, gdyż jest tak zapracowany, że ani nawet jeść nie ma czasu. Wiadomość o chorobie tatusia szczerze mnie zmartwiła. Czy to coś poważniejszego? Łączę serdeczne pozdrowienie dla całej rodziny. — **Tadeusz Frączek** w R.: Imię przez pomyłkę zostało źle wydrukowane. Nadesłany utwór i szarady umieścimy. Owszem, o dalsze prace prosimy. Na list, choćby nie wiem jak długi, chętnie odpowiemy. — **Maryla Horska** w K.: Czy nadesłana legenda jest własnego pomysłu? Szkoda, że taka króciutka! Możeby coś dłuższego — dobrze? — **Józef Rodak** z T., **Jerzy Sass** z K., **Józef Górecki** z K., **Alfons Czader** z S. W., **Jakób Jeziorański** z K., **M. Krieger** z T., **Władysław Sołtys** z N. S.: Z nadesłanych zagadek skorzystamy. — **Jan Smoła** w K.: Takich inspektorów, jak wasz, jest więcej w Polsce. Nie lepszy i krakowski. Ludzie ci nie dobro publiczne mają na względzie, ale kierują się przedewszystkiem względami osobistemi. Sprawę tę omówimy w jednym z najbliższych numerów „Roli". Pisma fachowe nie poruszają jej, gdyż ci, którzy mają obowiązek wystąpić w imię dobra publicznego, nie chcą się narażać takiemu satrapie. Łączymy serdeczne pozdrowienia i zapewnienia, że przyjdzie kreska na Matyska. — **Władysław Jaszczurek** w W.: Chcąc w tej sprawie coś powiedzieć, trzeba ją znać dobrze. Pan w liście opisuje to krótko i nie wiemy wielu szczegółów, więc niech Pan szerzej opisze. Świątniki oddalone od Krakowa około 2 mile. Okazowy numer z czekiem posłaliśmy. Utwór może Pan nadesłać albo podać nam, gdy Pan będzie w Krakowie. — **Jan Matuszkiewicz** w G.: Możemy Panu zaraz wysłać Nr. 5, 8, 9, 10, 11, 12 zaś 6 i 7, jeżeli jeszcze ze zwrotów z agencyj dostaniemy, to wyślemy. — **Jan Mizia** w J.: Zaległe numera wysłaliśmy pod wskazanym adresem. P. Cichoń mógł zaraz reklamować nieopłaconą kartką. Obecnie należne numera będzie otrzymywał w należytym czasie. Cześć! — **J. Wilk** w D.: Przyjechałbym Wam tylko na większy kłopot, tembardziej, że macie już gościa o którego się troszczyć musicie — no nie prawda? Zresztą dwa miesiące czasu jeszcze — dużo zmienić się może. Załączamy wiele serdecznych pozdrowień, a z okazji przybycia tego gościa życzymy większego zapasu cierpliwości. Za fotografje dzięki. — **Franciszek Donocik** w L.: Wysłaliśmy Panu list w sprawie reklamowanych numerów i nie mamy odpowiedzi. Może w Ligocie i listy przepadają i Pan nie otrzymał. Prosimy odpowiedzieć. — **Honorata Kubkowa** w G.: Równocześnie z numerem dzisiejszym odeszła skarga do starostwa w Chrzanowie. Pani powątpiewa o skuteczności skargi z powodu, że naczelnik gminy z Gorzowa jeździ sobie na przejażdżki z p. starostą? To niema nic do rzeczy. Jeżeli naczelnik, po kilkakrotnem upomnieniu się „Roli" nie wydał, odpowiadając, że nie przyszła (przesyłka zawierała 15 egzemplarzy), to tyle jakby ją usiłował ukraść, bo dopiero ją wydał za pisemnem poświadczeniem z urzędu pocztowego, że ją odebrał. Jeżeli ze starostwa nie otrzymamy należytej rękojmi, że podobne nadużycia naczelnika gminy się nie powtórzą, zapakujemy wszystkie listy, dołączając swoje pismo, odeślemy p. ministrowi, który wydał okólnik w sprawie doręczania „Roli", a dowie się p. minister, jak ten okólnik jest przestrzegany w gminie Gorzowie. Załączamy wzajemne pozdrowienia. — **Piotr Wenc** w S.: Ogłoszenie 2 zł.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Czader Alfons z S. W.).

■ ☆ ■ ☆ ☆ Ładunek (wspak).
■ ☆ ■ ☆ ☆ Spiekota.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto we Francji.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Baczność.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Produkt palenia.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Sznur do trzymania wspak.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Sport zimowy.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Inaczej płaczą.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Sułtan turecki.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Cnota.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie zdr. wspak.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Instrument muzyczny.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Odbitka.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Prusach wsch.

Litery pierwszego i trzeciego rzędu czytane z góry na dół dadzą imię, nazwisko i dwa utwory poety polskiego.

2. Szarady.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś).

I.

Już dawno p. Bzdurze, Kaśkę trzecie czwarte,
On się jednak upiera, że to nic nie warte.
Bo ludzie w jego wieku często pierwsze [drugie, trzecie, czwarte,
A że on na wszystko ma oczy otwarte,
Prawi, że gdy będzie całość i grosz trze- [cie, czwarte, piąte
Wszystko Kasi odda, a co powie — święte.

II.

(Ułożył Jan Gara z W.).

Pierwsze drugie, pół czwartego stan du- [chowny bywa
Drugie trzecie jabłek Bzdura sobie zrywa,
Trzecie czwarte dar boski się zowie
W włoskim języku, któż mi to powie?
Drugie i pierwsze jest to zwierz domowy,
Co napój daje dla nas bardzo zdrowy.
Całość to miasto piękne ozdrowym klimacie
W naszych górach. Czy się domyślacie?

III.

(Ułożył Adam Galer).

W pierwszem i pół drugiem
Mieszkają owady,
Drugie zaś i trzecie,
Każdy ma na świecie,
Całość zaś mi wierzcie
Jest w najmniejszem mieście.

IV.

Pierwsze to powstaje z wody,
Pół pierwszego i drugiego tyle
W organizmie robi wielkie szkody,
Całość za innemi miastami,
Nie stało i nie stoi w tyle.

3. Kryptogram.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W.).

. i e . . . . e u . . u . i e . a . . a
. . e . . u . . i e . . a . u . . i,
. i . . . . i e . . . . a . . ą u . . i ó . ,
. a . . i . . o . . ą . u . . i

Dopełniwszy spółgłoski, odczytać wiersz Krasińskiego.

4. Łamigłówka zoologiczna.

(Ułożył Adam Galer).

Pantera, krokodyl, tygrys, hipopotam, jaguar, antylepa, żyrafa, hiena, pancernik.

Z podanych nazw zwierząt wyjąć po jednej literze i utworzyć nazwę pospolitego zwierzęcia afrykańskiego.

5. Łamigłówka geograficzna.

(Ułożył Adam Galer).

Tarnów, Włocławek, Chełmno, Kalisz, Sanok, Poznań, Kraków, Racławice.

Z podanych nazw miast wyjąć po jednej literze i utworzyć nazwę miejscowości w Polsce.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 15 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 21 „Roli": 1. Logogryf: Adam Mickiewicz. 2. Szarady: I. Gazeta. II. Żarówka. III. Zapałka. 3. Układanki geograficzne: I. Bukareszt. II. Portugalja. III. Baleary. IV. Poznań. V. Warta. 4. Zagadka: Bassara.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jan Weber z K., Adam Galer z K., Józef Weber z K., Alfons Czader z S. W., Piotr Leśniak z M., Stefan Jaworski z P., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Teofila Kriegerówna z T., Piotr Wenc z S., J. Górecki z K., M. Krieger z T., E. J. Sadowski z W., Lunia Mydlarczykówna z W., Zygmunt Orlita z P., Michał Miazga z P., Kalmen Blauaug z T., Jerzy Sass z K., Władysław Sołtys z N. S., Czesław Wośkowski z U., Jan Lose z M. K., Jakób Jeziorański z K., Jan Smaza z Z., Piotr Kowalski z D., Józef Rodak z T. i Franciszek Rajca z T.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Smaza z Z. i Adam Galer z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Wodowstręt.

Paweł był świetnym pływakiem. Dnie całe spędzał nad rzeką. Ale pewnego dnia uratował tonącą dziewczynę. Odtąd czuje wstręt do kąpieli i pływania.



Szczyt roztargnienia.

Pokrajać w restauracji swój pugilares na talerzu i wyciągnąwszy z bocznej kieszeni wpakowany tam poprzednio sznycel, zawołać: „Kelner, płacić, tego świństwa ugryźć nie można“.

Luksus.

— Co za rozkosz, gdy człowiek leży w łóżku i naciśnie na guziczek dzwonka, aby się zjawił służący.

— Czy masz służącego?

— Nie, ale mam dzwoneczek elektryczny.

— Dzisiejsi żebrzący są strasznie rozwydrzeni. Wyobraź pan sobie — miałem właśnie kupić torcik za pięć złotych, ale ulitowałem się nad żebrakiem stojącym przed drzwiami cukierni i oddałem mu te pięć złotych. A wie pan co on zrobił? Kupił sobie ten sam torcik, na który ja miałem chętkę.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 4 czerwca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·20 do 1·85 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·85 zł.
Woły	od 1·47 do 1·85 zł.	Cielęta	od 1·28 do 2·33 zł.
Krowy	od 0·91 do 1·83 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·20 do 2·75 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·10 do 3.60

Giełda płodów rolniczych
z dnia 31 maja b. r

Pszenica	46·00—46·50	Słoma długa	8·00—9·00
Żyto	26·50—27·70	Ziemniaki stoł.	5·50—6·50
Owies	29·50—30·00	Koniczyna na-	
Jęczmień	25·00—26·00	sienn. czer.	00·00—00·00
Fasola biała	150·00—180·00	Mąka żytnia	44·50—46·50
Groch zwyk.	50·00—53·00	Mąka pszen.	76·00—76·50